

DR O G A

WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ

LISTOPAD-STYCZEŃ
1988 - 1989

NR 27



pismo

Konfederacji Polski Niepodległej

NASZA WIZJA » GŁASNOSTI «

Gorbaczowska pieredyszka zaczyna przynosić pierwsze efekty pozytywne. Zgodnie z przewidywaniami (zob. Leszek Moczulski - " Droga " 1978), każde zelżenie policyjno-partyjnego gniotu w ZSRR musi doprowadzić do ujawnienia się nurtów niepodległościowych wśród narodów podbitych i skolonizowanych w minionych okresach przez Rosjan. Dochodzą więc odgłosy odrodzenia narodowego, czy może buntu z republik nadbałtyckich burza się Kazachowie, Ormianie i Gruzini, narasta ferment w Uzbekistanie, odważnie walczą o swoje prawa krymscy Tatarzy. I wreszcie - co tu owijać w bawełnę ! - klęska bolszewizmu w Afganistanie ! Afganistan bowiem, to nie tylko porażką militarna Sowieców. To bodaj pierwszy przypadek, gdy Sowieci zmuszeni zostają do wycofania się z kraju, w którego stolicy zainstalowali już na dobre "władze ludowa". Naród Afgański najwidoczniej jeszcze nie wiedział, że są jakieś nieubłagane prawa historii, których żadna siła cofnąć nie może i zwyczajnie, po staremu, stawiał opór najeźdźcy. Determinacja i bohaterstwo tego narodu oraz nowoczesna broń pokazały, że jednak można położyć kres nawet najbardziej "postępowej" formie rządów.

To ważne wydarzenie powinno dać do myślenia tym wszystkim, którym się wydaje, że poprzez "wallenrodyzm", czy wystugiwanie się komunistom można ich oszukać, albo wykorzystać dla celów sprzecznych z ich żywotnymi interesami. Oczywiście żadnej walki zbrojnej nie ośmieliłbym się nikomu w Polsce zalecać. Po pierwsze bowiem, nie ma armat, po drugie, " naród nasz dowiódł swego bohaterstwa" w przeszłości, w związku z czym jeszcze nasze prawnuki będą z tego tytułu epatować cudzoziemców chwalebnymi bliznami. Po trzecie wreszcie, pomysł zadawania śmierci drugiemu człowiekowi, a zwłaszcza wrogowi, sprzeczny jest z nauką społeczną Kościoła, nie mówiąc już o tym, jaki ryzykowny.

Czyż w tej sytuacji już żadnych korzyści z pieredyszki i głośności nie wyciągniemy, czyż mamy pozostać na uboczu wydarzeń? Wydaje się, że niekoniecznie, a powód tego optymizmu zasadza się na pewnych możliwych konsekwencjach uruchomionego procesu głośności.

Konsekwencją tego procesu powinno być ujawnienie, zarówno przez władze ZSRR, jak i PRL, że wybory z roku 1947 zostały po pierwsze przeprowadzone w atmosferze terroru i zastraszenia, a po drugie - że zostały sfałszowane. Byłoby to zresztą stwierdzenie rzeczy powszechnie znanych, potwierdzonych przez poważnych historyków i raporty zachodnich dyplomatów. **Stwierdzenie tego faktu oficjalnie jest warunkiem wiarygodności procesu przywracania jawności.**

Takie jednak stwierdzenie faktu sterroryzowania społeczeństwa w okresie przedwyborczym oraz sfałszowania wyborów ma jeszcze inne konsekwencje. Te mianowicie, że skoro postanowienia porozumienia jaftańskiego z roku 1945 są nadal obowiązujące dla wszystkich jego sygnatariuszy oraz adresatów, to należy przypomnieć, że Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej został przez trzy mocarstwa zobowiązany do przeprowadzenia **WOLNYCH I NIESKRĘPOWANYCH** wyborów, w których miały prawo uczestniczyć na równoprawnych zasadach **WSZYSTKIE PARTIE DEMOKRATYCZNE I ANTYNACISTOWSKIE**. Skoro zaś zobowiązanie nie zostało - jak wiemy - przez Tymczasowy Rząd

190 OK 433/17

Jedności Narodowej w Polsce wykonane, to znaczy, że mocarstwa-sygnatariusze porozumienia jałtańskiego mają prawo - zarówno wszystkie razem, jak i każde z osobna - domagać się od następcy prawnego Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, a więc od obecnego rządu PRL - wykonania postanowień porozumienia jałtańskiego w całej rozciągłości. Możliwość wysunięcia takiego zadania staje się oczywista z chwili, gdy fakt sterroryzowania społeczeństwa oraz sfałszowania wyborów zostanie oficjalnie przez władze PRL przyznany.

Owa "cała rozciągłość" wykonania porozumienia jałtańskiego obejmuje również dopuszczenie do działalności publicznej "wszystkich partii demokratycznych i antynazistowskich", aby mogły one wziąć udział w wolnych i nieskrepowanych wyborach, wystawiając własne listy kandydatów.

I dopiero to może być podstawą pójścia na jakieś porozumienia z rządem, a nie jakieś głupstwa w rodzaju rad konsultacyjnych, rzeczników praw obywatelskich, referendum na temat różnic między przodkiem a tyłkiem, czy temu podobnych namiastek. Sprawa ta należy oczywiście zainteresować międzynarodową opinię. Cierpi ona na brak jasnych kryteriów oceny tego, co dzieje się obecnie w ZSRR. Stosunek do sprawy wyborów w roku 1947 w Polsce spełnia warunki jasnego kryterium i to zarówno w aspekcie wiarygodności procesu przywracania jawności i zrywania ze stalinowską przeszłością, jak też w aspekcie odstąpienia przez obecne władze ZSRR od tzw. doktryny Breżniewa o ograniczonej suwerenności państw socjalistycznych, która zresztą podobno (tak się w latach 70-tych mówiło) wcale nie istniała.

Światowa opinia publiczna ponadto skłonna była do traktowania problemów krajów Europy Środkowej i Wschodniej przez pryzmat Obrony Praw Człowieka. Sama zasada praw człowieka jest oczywiście słuszną jednakże ograniczenie się wyłącznie do tej strony problemów ma w sobie coś z kapitulantstwa. Przypatrzmy się zresztą, czym to się opinia światowa zajmowała, "broniąc praw człowieka" w ZSRR. Przez kilka lat świat zajmował się perypetiami zdrowotnymi, małżeńskimi i podróżniczymi rodziny (notabene dosyć dziwnej) prof. Andrzeja Sacharowa, który naturalnie jest człowiekiem godnym największego szacunku, ale w końcu jednym z wielu. Dopiero teraz opinia światowa jakby rozszerzyła skalę swojej percepcji, ale bo też teraz zaczęły przemawiać **NARODY**. Trzeba usilnie starać się o podtrzymanie i utrwalenie tego pozytywnego rozszerzenia horyzontów poznawczych opinii światowej i obok łamanych praw człowieka ukazywać jej złamane **PRAWA NARODÓW**.

Ale nie tylko stanowisko Sowietów i rządu PRL jest tutaj ważne. Należy również zainterpelować rządy państw - sygnatariuszy porozumienia jałtańskiego, czy uważają, że udowodniony fakt sterroryzowania społeczeństwa polskiego przed i w czasie wyborów oraz ich sfałszowanie przez Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej stanowi - ich zdaniem - wzorowe i zadawalające wykonanie postanowień porozumienia w Jaltcie.

Ponieważ wytworzyła się praktyka, że zachodni mężowie stanu, bawiac w Polsce, spotykają się również z osobistościami z kręgów opozycyjnych, bylibyśmy tym osobistościom szczerze zobowiązani, gdyby tę ważną kwestię poruszały podczas swoich rozmów, zaś stanowisko swych rozmówców w tej sprawie objawili opinii polskiej, jeśli ma ona wynieść jakiś z tych rozmów pożytek.

Byłoby bowiem bardzo nieprzyjemnie, gdyby się miało okazać, że owe spotkania i rozmowy przynoszą jedynie pożytek politykom zachodnim, którzy dzięki temu mogą przedstawiać się własnej publiczności jako ideowi realiści i szermierze wolności. Czyżbyśmy się mylili sadząc, że zaszczytny tytuł szermierza wolności nie ma już dzisiaj żadnej wartości ?

Andrzej Stanisławski

Friedrich von Hayek

- **NA CZYM POLEGA KRYZYS ?**
- **DLACZEGO CHCEMY BYĆ WOLNI?**

Na czym polega kryzys gospodarczy? Od kilkudziesięciu lat diametralnie różnych odpowiedzi na to pytanie udzielali dwaj czołowi ekonomiści współczesnego świata : Keynes i Hayek. W latach 40-tych i 50-tych naszego wieku większość rządów uprzemysłowionych krajów świata przychyliła się ku teoriom Keynes'a. Starano się zagwarantować maksymalnie pełne zatrudnienie, rozwijano państwowe świadczenia socjalne... Przez cały ten okres Friedrich von Hayek pozostawał sceptykiem . Przestrzegał przed sztucznym ingerowaniem państwa w wolny rynek . Od kilku lat przemysłowe potęgi świata - pod wpływem narastających trudności gospodarczych - zwróciły się ku teorii Hayek'a. Zasady jego ekonomii zastosowano w praktyce przez kilkunastu laty w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych - z widocznym i przekonującym skutkiem. Poniższy fragment książki Henri Lepage " Demain le liberalisme" przedstawia fascynujące dzieje rywalizacji naukowej Keynes'a i Hayek'a oraz niezwykle przenikliwe wyjaśnienie kryzysu gospodarczego w teorii ekonomicznej Friedricha von Hayek'a.

Friedrich August von Hayek urodził się w Wiedniu 8 maja 1899 roku . Jeszcze w połowie lat 60-tych mało kto przypominał sobie o istnieniu tego uczonego, który jednak w 1974 roku, wspólnie ze Szwedem Gunarem Myrdalem, otrzymał nagrodę Nobla w dziedzinie ekonomii.

Od połowy lat 70-tych trwa prawdziwy "return" Hayek'a, a prasa brytyjska przedstawia go jako głównego inżyniera ekonomicznej doktryny angielskich konserwatystów i rządu premier Margaret Thatcher. Sukcesy rządu pani Thatcher są sukcesem teorii Hayek'a. Zresztą... właśnie czytając bardziej znane dzieło Hayek'a "Droga niewoli" Margaret Thatcher - wówczas jeszcze młoda

dziewczyna - odkryła swe polityczne powołanie. W rządzie premier Thatcher jedno z najbardziej kluczowych stanowisk otrzymał Sir Keith Joseph, jeden z najbardziej gorących orędowników idei i teorii Hayek'a.

Przez prawie 30 lat Hayek był lekceważony przez establishment współczesnej myśli ekonomicznej (za wyjątkiem garstki wiernych uczniów i przyjaciół zgromadzonych w stowarzyszeniu Mont Perelin); był lekceważony tak dalece, że wiele współczesnych podręczników ekonomii w ogóle nie wspominało o jego pracach! Tak bardzo wszechwładnie ośwładnęły umysłami współczesnych ekonomistów teorie Keynes'a. Ale od kilkunastu lat myśli Hayek'a przeżywają wielki renesans. Coraz więcej uczonych, i to nie tylko w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych, ale i we Francji, Hiszpanii, Włoszech uważa Hayek'a za mistrza współczesnej analizy ekonomicznej, dzielając w pełni jego poglądy.

W czasach gdy teorie marksistowskie ładują na śmietniku, gdy tacy myśliciele, jak Bernard Henry Levy i inni uczą się na powrót zalet prawa naturalnego a nawrót do praw wolnego rynku stał się wyraźny w programach rządowych wielkich potęg gospodarczych - warto przypomnieć postać i osobowość uczonego, który w latach 30-tych naszego stulecia był największym rywalem Keynes'a, i który jest dzisiaj bodaj największym spośród żyjących wielkim myślicielem filozofii liberalnej.

Hayek mieszka obecnie we Fryburgu (Friburg - Brisgau), małym, typowo niemieckim miasteczku u stóp Schwarzwald. Prawde powiedziawszy bardziej rezyduje tu, niż mieszka - odkąd w 1938 roku przyjął obywatelstwo angielskie. Chociaż niekiedy skarży się na serce, nadal większość czasu spędza raczej na podróżach, niż w fotelu przy swym biurku, skąd on - stary alpinista - może kontemplować zadrzewione stoki pobliskich gór.

- Zawsze wyobrażałem sobie - mówi swym cichym głosem, nastawiając ku słuchaczowi jedyne zdrowe ucho ("Nie słyszę na lewe ucho - wyjaśnia - zaś Marks, o ile się nie mylę, był zupełnie głuchy na prawe...") - że gdy skończę 70 lat wycofam się z czynnego życia naukowego; ale bierność nie wychodziła mi na zdrowie. Zatem kontynuuję...

Emerytura niezwykle aktywna: konferencje naukowe na całym świecie, wielokrotne wypadki w ciągu roku do USA, Wielkiej Brytanii, ciągle niezwykle wszechstronna refleksja nad społecznymi instytucjami Zachodu, zakończona publikacją trzeciego tomu wielkiego dzieła "Law, Legislation and Liberty", kolejna książka w ostatecznej redakcji (będzie to wyzwanie rzucone wszystkim współczesnym "apostołom" socjalizmu i socjaldemokracji). Doprawdy, emerytura niezwykle pracowita... Patrzeć na Hayek'a, na jego wysmukłą pomimo pewnego przygarbienia sylwetkę trudno oprzeć się myśli: Ekonomia konserwuje...

Kim jest profesor Friedrich von Hayek?

Jego przeciwnicy powiadają, że jest ostatnim żyjącym adwokatem twardego liberalizmu w czystej formie XIX- wiecznej, "paleo-liberalizmu", jak nazwał go Pierre Rosenwallon. Pewien francuski dziennikarz nazwał go "guru reakcjonistów i idolem wszystkich konserwatywnych rządów świata". "Le Point" napisał (cokolwiek bezradnie): "Dziwne indywiduum"... Zaś były angielski minister - wywodzący się ze skrajnej lewicy związkowej - nazwał go na łamach "Daily Telegraph"

wprost "szaleńcem".

W rzeczywistości jest jak gdyby dwóch Hayek'ów :

ten sprzed wojny (I-ej wojny światowej) - młody, wybitnie zdolny austriacki ekonomista, któremu w wieku 28 lat powierzono stanowisko dyrektora Instytutu Badań Gospodarczych w Wiedniu; w cztery lata później wyjechał na wykłady do Londyńskiej Szkoły Ekonomicznej i sformułował przed Keynes'em pierwsze kompletne wyjaśnienie kryzysu, który obejmował wówczas zachodnie demokracje uczyniło to Hayek'a najbardziej znanym obok Keynes'a ekonomista ówczesnych lat;

jest i drugi Hayek, "powojenny": ten, który niby samotna Kasandra boczy się na swych kolegów po fachu mniej zajmując się czystą ekonomią co wyjaśnianiem swym współczesnikom, że dominujące współcześnie filozofie społeczne prowadzą do zniszczenia wolności, jakkolwiek powiadają, że chcą ją rozszerzać.

Szkoła Wiedeńska

Początkowo nic nie zapowiadało, że młody Hayek stanie się w przyszłości jednym z największych ekonomistów w dziedzinie ekonomii politycznej. Cała moja rodzina - wspomina - była bardziej zorientowana ku naukom przyrodniczym, niż społecznym". Jego dziad był znanym wiedeńskim biologiem, specjalistą w dziedzinie zoologii; jego ojciec był profesorem botaniki na Uniwersytecie Wiedeńskim, jego dwaj bracia, także profesorowie, wykładali jeden - anatomie, drugi - chemie na Uniwersytecie w Innsbruku. Tylko jego pradziad ze strony matki był profesorem prawa i przez czas jakiś przewodniczył Głównej Komisji Statystycznej imperium Habsburgów.

W 1916 roku Hayek wyruszył na front włoski.

"Tam właśnie - wspomina - zrodziło się we mnie pragnienie zrozumienia, jak funkcjonuje społeczeństwo gdyż to, co widziałem na wojnie, wstrząsneło mnie. Byłoby przesadą powiedzieć, że karmiłem się wówczas ideami socjalistycznymi, ale jak wielu młodych ludzi mego pokolenia powracałem z wojny z ambicją zaangażowania się w jakieś działanie, które powodowałoby ewolucję społeczeństwa ku społeczeństwu bardziej sprawiedliwemu, po prostu - lepszemu".

Ranny odesłany zostaje do domu, po wojnie podejmuje studia i otrzymuje na Uniwersytecie Wiedeńskim swe dwa dyplomy: prawa (1921) i nauk politycznych (1923). W tym czasie prowadził także intensywne studia psychologiczne.

Mistrzami w zakresie metodologii byli dla Hayek'a : Friedrich von Wieser z Wiedeńskiej Szkoły Ekonomii Politycznej i Ludwig von Mises (zmarły w 1973 r w wieku 92 lat); von Mises przez prawie 10 lat prowadził w swym biurze, w Wiedeńskiej Izbie Handlowej, pozauniwersyteckie seminarium, gdzie zdolni ludzie o różnych profesjach dyskutowali swobodnie najrozmaitsze kwestie z dziedziny ekonomii, socjologii, filozofii i nauk społecznych. Wśród tej grupy byli m.in. Oskar Morgenstern, Paul Rosenstein Rodan, Gottfryd Haberler, Fritz Machlup - także Hayek.

Ów okres wiedeński był decydujący. Von Mises szukał młodych, zdolnych dyplomatów do pracy w organizacji rządowej, której celem było studiowanie problemów ekonomicznych "zadanych" do

realizacji przez traktat z Saint-Germain. Z rekomendacji Wieser'a zatrudnił Hayek'a. Początkowo nie było wielkiej sympatii między von Mises'em a Hayek'iem. Ultraliberał von Mises źle znosił skłaniającego się ku socjalizującej myśli fabiańskiej Hayek'a. Ale niezwykle uczciwa metoda naukowa von Mises'a rychło zwyciężyła nad politycznymi sentymentami Hayek'a. W 1922 roku von Mises opublikował swe słynne dzieło krytyczne "Socjalizm", dzięki któremu Hayek przyłączył się ostatecznie do grona zwolenników filozofii empirycznej i liberalnej, będącej fundamentem Szkoły Wiedeńskiej. Von Mises jest zresztą autorem innego dzieła - "Teorii pieniądza" - opublikowanego w roku 1922, dziś prawie zapomnianego - ale ostatnio odkrywano na nowo przez współczesnych ekonomistów amerykańskich (G.P.D.O Driscoll - "Economics as a coordination problem", Institut for Contemporary Studies, 1977 rok). Rozwijał tam oryginalną teorię gospodarczych fluktuacji, która odegra ważną rolę w rozwoju naukowej myśli Hayek'a. Podczas, gdy ówczesni ekonomiści angielscy i amerykańscy (którzy prawie w ogóle nie czytali prac niemieckich, co pozostaje nie bez wpływu na współczesną historię prac ekonomicznych...) byli przekonani, **że wystarczy ustabilizować ogólny poziom cen aby odkryć sekret wiecznej prosperity gospodarczej**. Mises wyjaśniał w swej książce, że cel ten jest nieosiągalny w nowoczesnej gospodarce, a to z powodu rozlicznych i stałych perturbacji, wprowadzanych do mechanizmu rynkowego poprzez **tworzenie pieniądza**.

Według von Mises'a tajemnica gospodarczych skoków może być wyjaśniona tylko przez badania nad sposobami, **w jakie pieniądz wchodzi do systemu gospodarczego**, rozprasza się tam i wywołuje kompleksową grę poszczególnych trybów mechanizmu gospodarczego, wiążących decyzje jego różnorodnych i licznych podmiotów.

Te właśnie głęboka intuicje badawcza (dziś jeszcze nazbyt lekceważona i to nawet przez tych ekonomistów, którzy należą do Szkoły Monetarnej, jak Milton Friedman) - podjął Hayek na swym nowym stanowisku dyrektora Wiedeńskiego Instytutu Badań Gospodarczych, i to ona przysporzyła mu tyle popularności u początku lat 30-tych.

Tymczasem w połowie lat 20-tych Hayek odwiedził Stany Zjednoczone . Po powrocie do kraju opublikował po niemiecku kilkanaście artykułów, w których wyrażał niepokój co do perspektyw utrzymania się tej cudownej koniunktury na rynku amerykańskim, która wyrażała się m.in. w wyjątkowej stabilności cen i która wytwarzała w USA niebezpieczne poczucie gospodarczej euforii (okres ten ma zresztą sporo analogii z gospodarczą euforią Ameryki lat 60-tych). W lutym 1929 roku Hayek precyzuje swe obawy, wydając zbiór swych artykułów w książce "Geldtheorie und Konjunkturtheorie" (będzie ona wydana w po angielsku w 1933 roku i wznowiona pod innym tytułem w roku 1966!). W książce tej Hayek przepowiadał nieuchronny głęboki kryzys. W kilka miesięcy później krach na Wall Street był koronnym dowodem przemawiającym na rzecz teorii Hayek'a...

Mimo barier przekładowych to "jasnowidzenie Hayek'a zostało dostrzeżone w środowiskach amerykańskich ekonomistów. Również kilkunastu wybitnych ekonomistów angielskich zainteresowało się teoriami szkoły austriackiej, o których wiedzieli bardzo mało, ale które były tak bardzo niepokojące w owym okresie uporczywych pytań o źródła i początki kryzysu gospodarczego. W ten

sposób doszło do zaproszenia Hayek'a, w 1931 roku, do przedstawienia swych teorii w Londyńskiej Szkole Ekonomicznej. Hayek pozostał już w Londynie przez 28 lat, aż do 1952 roku, daty przejścia na Uniwersytet w Chicago, gdzie powierzono mu stanowisko profesora nauk społecznych i moralnych (piastował je do 1962 roku). Potem powrócił do Niemiec, na Uniwersytet we Fryburgu.

Wraz z wyjazdem do Londynu zaczęła się nowa epoka w życiu Hayek'a, najbardziej fascynująca, która bezsprzecznie jest najświetniejsza karta jego kariery – o ile nie jest nią obecny "reganizm" czy "thatcherizm". W 7 lat po przybyciu do Anglii Hayek przyjął w 1938 roku obywatelstwo brytyjskie; zachowuje je do tej pory, on jak i jego dzieci, osiadłe w Anglii.

Teoria kryzysów gospodarczych Fridricha von Hayek'a.

Co powiedział Hayek brytyjskiemu audytorium, zebranemu w sali przy Houghton Street?

Powiedział:

"Jesteśmy w stanie, być może, przewidzieć kryzys kontrolując na bieżąco gospodarczą ekspansję, ale kryzys raz rozpoczęty oznacza, że nie możemy z niego wyjść zanim nie upłynie naturalny czas jego trwania".

Podczas gdy jego angielscy i amerykańscy koledzy po fachu, uformowani w szkole Alfreda Marschalla oddawali się głównie badaniu funkcjonalnych stosunków między rozwojem ogólnego poziomu cen a produkcją, czy też pomiędzy wielkimi zmiennymi makro-ekonomicznymi naszych narodowych bilansów (inwestycje, oszczędności, zatrudnienie) – Hayek zajął "punkt obserwacyjny" jeszcze do dziś mało popularny: skoncentrował się nad zakłóceniami, jakie występują w działaniu rynku w wyniku **i n f l a c j i k r e d y t u** (nawet przy braku ogólnej, zwyżki cen) w całej rozciągłości kompleksowego łańcucha mikroekonomicznych decyzji, od których zależy dystrybucja zasobów pieniężnych pomiędzy różne stadia produkcji.

Hayek mówi:

"Kryzys nie jest incydem, ale zakończeniem pewnego procesu, który zaczyna się dokładnie w tym momencie, kiedy rodzą się przyczyny boomu, poprzedzającego kryzys".

Ujmując to wyjaśnienie w pewien schemat przedstawia się on następująco:

u początku każdej prosperity (boomu) jest jakiś wypadek lub seria wypadków, które zwiększają perspektywę i prawdopodobieństwo zysków dla niektórych przemysłów; może to być wynaleziona innowacja technologiczna, obniżenie jakichś barier celnych, pokonanie jakichś barier geograficznych, otwarcie nowych rynków etc.; te przedsiębiorstwa i te przemysły, które pierwsze uwzględnią w swych decyzjach nowe perspektywy zysku, zwiększą swe wydatki inwestycyjne (inwestycje), w związku z czym zażadają od banków więcej kredytu na ich sfinansowanie. Na to żądanie banki odpowiedzą pozytywnie zwiększając ofertę kredytową, ale uczynią to na warunkach kredytu niższego niż ten, jaki być powinien (wedle stawek oprocentowania) udzielony, gdyby informacja o nowych perspektywach zysku była doskonale szybko rozprowadzona do wszystkich podmiotów rynku. Innymi słowy – ten kredyt będzie tańszy, niż byłby w sytuacji, gdyby cały rynek

od razu dowiedział się i zorientował na nowe perspektywy zysku, otwierające się dzięki pomyślnym wypadkom.

Ten napływ nowostworzonego pieniądza (w formie kredytu) po stawce oprocentowania niższej względem tej, jaka powinna wynikać z nowopowstałych w tym momencie warunków równowagi między popytem inwestycyjnym (który się zmienił) a podażą oszczędności (która jeszcze się nie zmieniła) – ma swój skutek rozkrecenie się mechanizmu kumulatywnego gospodarczego ożywienia. Ale ożywienie to **m n i e j** związane jest ze zwiększaniem się realnego popytu na finalne dobra konsumpcyjne, lecz jest **bardziej** związane z faktem, że tani nowy pieniądz (tani kredyt inwestycyjny) zmienia na korzyść produkcji tych właśnie dóbr względna rentowność przemysłów wytwarzających dobra podstawowe. Upraszczając: kto inny wziął nowostworzone, tanie pieniądze (niskooprocentowany kredyt) – a kto inny w pierwszym rzędzie na tym skorzysta. Gdyż inwestycje amortyzują się (w przewidywaniach: korzystnie) – dopiero po pewnym czasie, podczas gdy tani pieniądz zacznie krążyć od razu. Proces ożywienia gospodarczego zatem nie będzie się rozchodził w przemyśle ani po liniach "prostych", ani jednakowo przebiegał w różnych sektorach gospodarki. Z ożywienia gospodarczego skorzystają najbardziej i najszybciej te przedsiębiorstwa, które sytuują się ponad sektorami produkcji środków produkcji i przemysłami surowcowymi. Tanie pieniądze, zainwestowane w przemysły i przedsiębiorstwa "rozwojowe" (w świetle korzystnych perspektyw) pojawia się zupełnie gdzie indziej – w formie płac napędzających popyt konsumpcyjny. Ceny dóbr konsumpcyjnych wzrosną. To z kolei zakłóci ponownie strukturę stawek rentowności między poszczególnymi sektorami przemysłu. Teraz jednak w kierunku odwrotnym: perspektywy zysku przedsiębiorstw wytwarzających produkty zbliżone do produktów finalnych bądź produkty finalne zwiększa się – ze szkoda dla przedsiębiorstw tylko przetwarzających.

Widzimy zatem, że wiele projektów inwestycyjnych lub przedsięwziętych inwestycji w pierwszej fazie (przewidywania korzyści) podjęta została na zasadzie "antycypowanej rentowności", która nigdy nie zmaterializuje się: nowy rozkwit przemysłów konsumpcyjnych zakłóci strukturę względnych kosztów, w związku z którą przecież wykonano uprzednie kalkulacje. Inwestycje, które uważano za rentowne okazały się mało lub wcale nierentowne, a przedsiębiorstwa uważane za "rozwojowe" załamują się.

W tym właśnie momencie – wyjaśnia Hayek – zaczyna się kryzys. Nie jest on skutkiem jakiegś autonomicznego depresji popytu, związanej z zewnętrznymi zmianami podmiotów gospodarczych – ale jest konsekwencją procesu progresywnej dyslokacji bardzo delikatnego systemu **c e n w z g l e d n y c h**, które w całości gospodarki zapewniają koordynację różnych decyzji w różnych kolejnych stadiach działalności przemysłowej. Źródło tej postępującej dyslokacji jest czysto pieniężnej natury: jest nim istniejąca w danym momencie różnica między praktykowanymi stopami oprocentowania a **naturalnymi** stopami oprocentowania danej gospodarki. Jest to różnica, która w okesie boomu wywołuje epidemię błędnych decyzji w stosunku do rzeczywistych warunków końcowej ewolucji popytu. Gdy pierwsze sygnały o wzroście bezrobocia i bankructwach docierają na rynek, jest już za późno by zrobić cokolwiek z błędnie zainwestowanymi pieniędzmi i ekonomiczno-politycznymi

skutkami. Według Hayek'a cała farsa ożywienia gospodarczego kończy się więc nieuchronnie korygującą recesją. O ile recesja, jakiej doświadczyły w tamtych latach kraje zachodnie (a zwłaszcza Wielka Brytania) była tak poważna to dlatego, że podczas 10 wcześniejszych lat polityka gospodarcza tych państw i ich praktyka monetarna przyczyniały się (o ile wręcz nie powodowały) do nierozważnego tworzenia kredytu (pieniądza). Same rządy tworzyły źródła późniejszej recesji.

"Inflacja kredytu - sumuje swe wywody Hayek - wytworzyła w systemie monetarnym długą serię zakłóceń, które wypaczyły mechanizmy samokoordynacji systemu względnych cen i spowodowały, że w całą gospodarkę wprowadzono błędne informacje, które były z kolei podstawą decyzji dla poszczególnych podmiotów rynku i przemysłu w ich działalności produkcyjnej, w ich wyborach inwestycyjnych etc.

Późniejsza nieuchronna recesja jest niczym innym, jak ujawnieniem tych błędów i ich korekta. Jest nawrotem do właściwie funkcjonującej informacji w gospodarce. Boom i kryzys, ożywienie i recesja są fazami tego samego procesu i nie wolno traktować ich w oderwaniu".

Takie jest przesłanie Hayek'a.

Rywalizacja z Keynes'em

Ta analiza Hayek'a wywołała gwałtowną polemikę. Zawierała bowiem konkluzje zupełnie przeciwne tym, które w kilka lat później sformułował Keynes w swej słynnej "Ogólnej teorii zatrudnienia, zysku i pieniądza". Po przeczytaniu prac Hayek'a Keynes zareagował gwałtownie, nazywając dzieło Hayeka "Najokropniejszym melanzem, jaki kiedykolwiek czytałem". Hayek replikował w piśmie "Economica", wydawanym przez Londyńską Szkołę Ekonomiczną: napisał, że "Keynes robi podstawowy błąd przechodząc do porządku nad faktem, że istnieją wewnętrzne relacje cenowe (ceny względne), które tworzą realny system".

Przez 4 lata - od 1932 do 1936 roku - toczyła się wściekła batalia. Polemiki, kontrpolemiki, ataki riposty... Londyńska Szkoła Ekonomiczna wspierała się autorytetem Wiliama Beveridge (który, o paradoksie, będzie później zwolennikiem...keynesowskiego programu rządowego opartego na polityce pełnego zatrudnienia) i Lionela Robinsona, autora najlepszej historii Wielkiego Kryzysu, napisanej z punktu widzenia teorii Hayeka. Wokół Keynesa skupili się ekonomiści z Cambridge. Polemika przeniosła się i na teren Stanów Zjednoczonych: Uniwersytet w Chicago opowiedział się za Hayekiem, Uniwersytet w Massachusetts bronił też Keynes'a.

"Gwałtowność ataków skierowanych przeciwko mnie-wspomina Hayek-była niewiarygodna. Dzięki temu byłem wówczas bez wątpienia najbardziej znanym obok Keynes'a ekonomistą świata".

W roku 1936 Keynes publikuje swą "Ogólną teorię...". Hayek odmawia dokonania krytycznego omówienia książki rywala na łamach "Economica". Nie chce już rozgłosu? Sam powiada: "Przez wiele lat krytykowałem tezy Keynesa zawarte w jego książce " Traktat o pieniądzu " - teraz Keynes wyznał, że zmienił zdanie ...Co będzie, jeśli skrytykuje "Ogólną teorię..." a Keynes znowu zmieni zdanie?"...

A jednak odmowę swej krytyki dzieła Keynesa uważa dotąd za największy błąd swego życia. Sukces keynesowskich idei, zawartych w "Ogólnej teorii..." był tak szybki, że Hayek został niemal

zupełnie zapomniany. Oczywiście nie przestał pracować i pisać. Ale świat wpatrywał się już tylko w Keynesa i jego uczniów. Austriacka myśl o cyklach jednego prośesu, jakim są boom i kryzys popada w zapomnienie do tego stopnia, że nie jest nawet prezentowana w akademickich podręcznikach...

"Moje idee - konstatuje filozoficznie Hayek - mogły zostać równie łatwo przyjęte przez polityków, gdyż ujawniały nieuchronnie szkodliwy charakter wszelkiej polityki interwencyjnej w dziedzinie monetarnej i budżetowej. Przeciwnie, teorie Keynes'a miały u podstaw tylko czczone obietnice nowego "złotego wieku", w którym drobny wytwórca zostanie wielkim przedsiębiorcą, a rzemieślnik - ekonomista...".

W 40 lat później - dziś - Hayek nie zmienił swego zdania ani co do źródeł kryzysów gospodarczych, ani co do teorii Keynes'a. Hayek tak opowiada do dziś:

"Po raz pierwszy spotkałem się z Keynes'em w 1928 roku. Potem miałem jeszcze wiele okazji spotkać go, korespondować z nim, zwłaszcza podczas wojny. Poznanie Keynesa jest wspomnieniem, które pozostanie mi na całe życie: wywierał magnetyzujący wpływ na otoczenie, jego rozległa kultura literacka, artystyczna i naukowa, siła jego słów i bogactwo zainteresowań sprawiały, że nawet gdyby nie napisał nic z dziedziny ekonomii i tak wspominałbym go jako wielkiego człowieka. Ale to nie przeszkadza, że był kiepskim ekonomistą".

Hayek nigdy nie cofnął tych słów. Natomiast odpowiedział:

"Podstawy jego teorii były bardzo ciasne. Zamiast rozwijać swe oryginalne niekiedy pomysły zawęził swą kulturę ekonomiczną do pewnych podstawowych twierdzeń ekonomii malthusowskiej. Nie znał wcale prac Walrasa, Pareto, poglądów ekonomistów austriackich i szwedzkich (znał je nader powierzchownie). Wątpię, czy kiedykolwiek zgłębił teorie wymiany międzynarodowej i czy wogóle dysponował jakąś dostatecznie rozwiniętą teorią kapitału. Widząc, jak mało czasu i energii poświęcał ekonomii, dziwi się nieustannie, że wywarł taki wielki wpływ na współczesną myśl ekonomiczną. Jego "Ogólna teoria..." ma tylko ogólny tytuł... Keynes dostarczył ludziom swej epoki tego, czego od niego oczekiwali: optymizmu".

Słowa goryczy? Dramat człowieka, którego powojenne losy postawiły w rzadkiej dla uczonego sytuacji out-sidera? Prawda wydaje się być o wiele prostsza: przez wszystkie lata - aż po dzień dzisiejszy - Hayek jest nadal przekonany, że "teorie makro-ekonomiczne są bardziej nawrotem do prehistorii myśli ekonomicznej, niż jakimkolwiek postępem w tej nauce". Głosi tak wbrew większości łatwym i miłym akademickim podręcznikom.

"To prawda - mówił w swym wystąpieniu z okazji przyznania mu w 1974 roku nagrody Nobla - że makro-ekonomiczny punkt widzenia współczesnej ekonomii jest przyjemniejszy, że odwołuje się bardziej do liczb, że **wyda** się bardziej naukowy, niż tradycyjna mikroekonomia uprawiana przez szkołę austriacką. Ale ów postęp uzyskany w dziwnej ekscytacji liczbami osiągnięty został za cenę kompletnego zapomnienia o podstawowych pojęciach metodologicznych, które dziś zmuszeni jesteśmy odkrywać na nowo w warunkach, gdy ekonomie usiłuje się dziś robić z kosztownych gospodarczo i politycznie niegodziwości".

Kiedy zwracano mu uwagę, że recepty Keynes'a umożliwiły państwom zachodnim wyeliminować cykle boomu i kryzysu o tak wielkiej rozpiętości – Hayek odpowiadał zawsze ostrzegając, by nie powtarzać optymistycznych iluzji z lat 20-ych, które spowodowały później tak wielki kryzys. Według Hayek'a i jego młodych dziś uczniów – Sudha Shenoy i Garlad O'Driscoll – kłopoty, jakie dziś przeżywają gospodarki krajów Zachodu są właśnie nowym przykładem skutków dyslokacji, dokonywanej w długim okresie prosperity, opartej na tworzeniu pieniądza. "Nigdy nie twierdziłem – wyjaśnia Hayek – że keynesowska polityka stymulacji pieniężnej czy budżetowej globalnego popytu nie może być skuteczna w dziedzinie zatrudnienia czy aktywności gospodarczej; ani że bywa czasami niezbędna z powodów politycznych, gdy warunki wymagają desperackiego działania. Ale jestem nadal przekonany, że tworzenie nowego zatrudnienia czy ożywienia gospodarczego tego rodzaju pieniężno-budżetowymi technikami utrwała metodę, nie gwarantuje zaś trwałego utrzymania zatrudnienia i preżności gospodarczej".

Innymi słowy mówiąc: trzeba porzucić jako błędna myśl, że jakiegokolwiek społeczeństwo utrzyma w długim czasie pełne zatrudnienie bez poniesienia strat większych, niż korzyści z pełnego zatrudnienia. Hayek mówi: "Posuneliśmy się dalej niż kiedykolwiek, my, na Zachodzie, w stosowaniu tych technik budżetowo-inflacyjnych. Rzeczywiście, zapewniliśmy dzięki temu krajom zachodnim okres prosperity o wiele dłuższy, niż kiedykolwiek dotąd. Ale te same przyczyny wywołują te same skutki: stosując politykę Keynesa podłożyliśmy bombę o opóźnionym zapłonie i załamanie się systemu nastąpi, o ile w porę nie odejdziemy od tej polityki. Myślę jednak, że na odejście już jest za późno. Nie boję się powiedzieć, że jestem pesymista. To czego się obawiam, to politycznej niezdolności do zdławienia inflacji, która zmusi nas w konsekwencji do sięgnięcia po brutalne techniki kontroli cen, techniki, które przeszkodzą – być może – dalszemu wzrostowi cen, ale które pogłębia stokrotnie tę błędną dyslokację, która żywi kryzys. Obawiam się, że w ciągu najbliższych 20 lat doświadczymy poważnej katastrofy, jeśli będziemy kontynuować politykę inflacji".

Dlaczego – wolność gospodarcza ?

Hayek plasuje się w tym nurcie filozofii społecznej, która jest kontynuacją klasycznej tradycji angielskiej i anglosaskiej, reprezentowanej od XVIII wieku przez takich filozofów, jak John Locke, Bernard de Mandeville, Dawid Hume, Josiah Tucker, Adam Ferguson, Edmund Burke i oczywiście Adam Smith. **Hayek uważa, że ludzkie instytucje nie są nigdy w całości wytworem ludzkiego umysłu,** wytworem umysłu jakiegoś genialnego legislatora, myśliciela, uczonego, geniusza. Jak i Karl Menger – Hayek przeciwstawia się kontynentalnemu konstruktywizmowi, wywodzącemu się z tradycji Rousseau, encyklopedystów, fizjokratów i ich współczesnych uczniów. **Hayek zarzuca im swego rodzaju naiwny kartezjanizm, który – pojmując instytucje społeczne jako skutek celowych planów – prowadził do socjalizmu.**

Hayek obnaża nienaukowy antropomorfizm takiej wizji. Opierając się na najnowszych badaniach antropologii społecznej przypomina, że to wcale nie dzięki logicznej dedukcji człowiek pierwotny opanował sukcesywnie swym najbliższym środowiskiem – ale że stało się to dzięki stosowaniu reguł zwyczajowych i wykorzystaniu intuicyjnych owoców doświadczenia. "Instytucje –

mówi Hayek – są efektem działania ludzi, a nie ich zmysłów”. Instytucje społeczne są zdaniem Hayeka zawsze rezultatem procesu ewolucjonistycznego, wielu prób i błędów, w wyniku których społeczność ludzka selekcjonuje powoli zbiorowe reguły zachowań, najbardziej zdadne do ułożenia społecznej współpracy (tak, jak to dzieje się z językiem, którego nie wymyślono i “zrealizowano”).

Hayek pisze :

“Instytucje społeczne, które okazują się niezdolne do podtrzymywania społecznej współpracy w osiąganiu poszczególnych, indywidualnych celów – zanikają; bądź dlatego, że są zarzucane przez te grupy ludzkie, które to wytworzyły – bądź dlatego, że grupy te zaczynają zanadto odstawać od społeczeństw, w których przypadki ewolucji wytworzyły instytucje bardziej skuteczne”.

Społeczeństwo – zdaniem Hayeka – nie wynika z obserwacji, zrozumienia i zastosowania jakichś praw w związku z celami, jakie sobie stawia – ale powstaje także w wielkiej mierze dzięki obserwacjom zbiorowych reguł zachowania, którym ludzie poddają się z powodów im nieznanych i które często nie mają nic wspólnego z powodami, które początkowo uzasadniały ich zastosowanie (rola zwyczajów, tabu, ideologii). W serii artykułów pod wspólnym tytułem “Socjetyzm a stadia nad społeczeństwem” pisze :

“Celem nauk społecznych jest właśnie badanie znaczenia tych reguł, które nie zostały dowolnie ustanowione przez ludzi, a których przestrzeganie pozwala stworzyć łądy społeczne bardziej kompleksowe niż te, jakie możemy pojąć przez prostą obserwację”.

Zasadnicze pytanie, jakie stawia Hayek brzmi więc następująco:

“Dlaczego właśnie wolność stała się zasadą, na której opiera się cała współczesna cywilizacja zachodnia?”

Żyjemy w cywilizacji opartej na ideach wolności. Ale wolność jest idea względnie świeża: jest pomysłem, innowacją społeczną, która wprawdzie powstała w świecie greckim Sokratesa i Peryklesa, ale która ma za sobą zaledwie dwa, trzy stulecia we współczesnym doświadczeniu. Dlaczego więc społeczność Zachodu wynalazła zalety wolności? Jaka rola społeczna, jaka użyteczność społeczna przedstawiają walory wolności dla społeczeństwa?

Problem ten nie polega – wyjaśnia Hayek – na pytaniu, w **jaki sposób** idea wolności przyszła na myśl ludzi (jest to problem filozofii moralnej) ale na pytaniu **z jakich powodów i poprzez jakie procesy empiryczne** pojęcie wolności torowało sobie drogę aż stało się fundamentem sofeznych struktur cywilizacji Zachodu.

Jeśli bowiem pojęcie wolności indywidualnej – powiada Hayek – stało się jedną z fundamentalnych instytucji cywilizacji zachodniej to znaczy, że odpowiadały (w świecie, w którym zostało poczęte) pewnej społecznej racjonalności, która trzeba zidentyfikować i określić, niezależnie od wszystkich innych walorów wolności w porządku subiektywnym dla poszczególnych ludzi . Gdyby tego rodzaju racjonalność wolności nie istniała, sama idea społeczeństwa wolnego nie mogłaby się upowszechnić.

Odpowiedź na swe pytanie odnajduje Hayek w “ekonomice informacji”. Niezaprzeczalną zaletą wolnego rynku jest szybki obieg informacji. Sądzi się powszechnie – pisze Hayek – że przyczyną istnienia gospodarki rynkowej typu kapitalistycznego jest jej związek z właściwościami

modelu konkurencji czystej i doskonałej. Jest to zupełna herezja – pisze Hayek. Fundamenty gospodarki rynkowej nie mają nic wspólnego z teoretycznymi modelami, wypracowanymi później, a posteriori, przez ekonomistów. Przeciwnie – tym, co uzasadnia gospodarkę wolnorynkową jest fakt, że przynależymy do świata, w którym **informacja** jest zawsze niedoskonała, niepełna, niekompletna i trudna, kosztowna do uzyskania. Wprost przeciwnie do tego, co się na ogół sądzi i pisze – to właśnie cena wobec niedoskonałości informacji służy w zasadniczy sposób zrozumieniu powodów wytworzenia się zdecentralizowanej gospodarki rynkowej typu kapitalistycznego. Rynek jest nie tylko anonimowym miejscem, gdzie wymienia się dobra i usługi, nie jest też jakimś sztucznym mechanizmem rozdziału ubóstwa; jest przede wszystkim i w sposób nieodłączny **dynamicznym instrumentem mobilizacji, wytwarzania i rozdziału informacji i niezbędnej wiedzy dla regulowania życia złożonego społeczeństwa**. Ta społeczna racjonalność, która uzasadnia rynek jest przede wszystkim fakt, że działa on głównie jako mechanizm tworzący **komunikaty informacyjne**, a więc pełni kluczową rolę w łańcuchu ludzkich decyzji, zachowań i narastania ludzkiej wiedzy. Koordynuje harmonie indywidualnych ludzkich poczynąń, bez której nie może istnieć zrównoważone życie społeczne. Dlatego właśnie w toku dziejów to **wolny** rynek utorował sobie drogę i stał się naczelną wartością zachodniej cywilizacji.

Ale Hayek idzie jeszcze dalej: sama idea wolności sprowadza do pojęcia informacji. Jest bardzo prosty powód – pisze – dla którego pod presją wzrostu demograficznego ludzkości oraz problemów regulacji, związanych z przejściem od społeczeństwa plemiennego do bardziej skomplikowanego nasze instytucje społeczne są w coraz większej mierze modelowane według systemu etyki wolności. Dzieje się tak dlatego, **bo w społeczeństwie, gdzie obfitość informacji niezbędnych do koordynowania wielości indywidualnych zamierzeń przekracza możliwości integracyjne ludzkiego umysłu – wolność pozwala używać tej informacji, jaka sam dysponuje, aby realizować swe własne zamiary**.

System oparty na wolności jest jedynym systemem, który zapewnia optymalną mobilizację zespołu wia

Jeśli więc wolność stała się w czasach nowożytnych, a zwłaszcza współczesnych, polityczną moralnością – to stało się tak dlatego, że społeczeństwo nieustannie selekcjonowało system wartości najlepiej służący pokonywaniu barier rozwoju, zaś w czasach nowożytnych największymi barierami rozwoju społecznego są te, które wynikają z wielkiej liczby ludzkości.

Aby tak było trzeba jeszcze, żeby podmioty działalności gospodarczej używały tej wolności dla zrealizowania własnych korzyści w pewnej odpowiedniości do największych zagrożeń społeczeństwa, do którego należą. W społeczeństwie, określonym przez czasy współczesne, takimi największymi zagrożeniami i barierami są te, które wiążą się z potrzebą przeżycia mas, wielkich ilości ludzi; i otóż właśnie wolność dana jednostkom w wielkich społeczeństwach, wolność realizowania ich własnych celów da się wyjaśnić tylko jako instrument pobudzania zachowań najbardziej korzystnych dla postępu ekonomicznego, więc dla przeżycia jak największej ilości ludzi.

Patrząc w ten sposób widzimy, że zysk decydujący czynnik gospodarki wolnorynkowej – pełni nie tylko "egoistyczną" rolę, ale także ogromnie ważną rolę **s p o ł e c z n ą**. To nie jest tak, że zysk jest

wyłącznie celem samym w sobie, nagrodą za podjęcie ryzyka, za wysiłek etc. - istota zysku jest jego racjonalność dla społeczeństwa. Bez względu na to, jakie motywy indywidualne pobudzają jednostkę do osiągania zysku - zysk zawsze pełni niezwykle ważną rolę społeczną, działa w interesie całej zbiorowości rozwiniętego społeczeństwa.

Hayek w ten sposób określa zysk:

"Zysk jest tym, co pozwala zapewnić transmisję do wszystkich jednostek w społeczeństwie komunikatów, dzięki którym ludzie, w swych indywidualnych decyzjach, mogą uwzględniać wiadomości, których sami nie posiadają, ale o których informuje ich pośrednio właśnie zysk - co umożliwia optymalnie harmonijną koordynację indywidualnych ludzkich poczynąń w skali wielkiego społeczeństwa".

Hayek powiada: postęp, rynek, wolność zysk tworzą zespół pojęć i instytucji tak powiązanych między sobą i tak bardzo nierozłącznych, że są po prostu różnymi organami tego samego systemu. Tylko ich wzajemne powiązanie, ich jedność, pozwala wszystkim jednostkom korzystać możliwie najpełniej z sumy wiadomości, których żadna poszczególna jednostka ani żadna poszczególna grupa społeczna, ani żadna władza nigdy nie dysponuje i dysponować nie może.

Zysk jest więc - według Hayek'a "informacja zbiorcza", dostępna każdemu, bez względu na stopień jego wiedzy. Nie trzeba wiedzieć, dlaczego jakaś produkcja jest zyskowna - wystarczy wiedzieć, że jest. W skali społecznej jest to bardzo lapidarna i bardzo ważna informacja.

Dla Hayek'a wolność gospodarcza i wolność polityczna są ze sobą nierozłączne

Torza one jak gdyby dwa podsystemy tego samego problemu kluczowego: w jaki sposób w skali społeczeństwa wielkiego i skomplikowanego zapewnić najlepszą z możliwych mobilizację wiadomości i informacji, rozproszonych w tym społeczeństwie, w interesie jak największej ilości jego członków. Taki jest - podsumowuje Hayek - aspekt czysto etyczny, prawdziwe źródło naszej cywilizacji, naszego systemu wartości i naszych instytucji społecznych. Nie wystarczyłoby bowiem, żeby kilku oświeconych filozofów odkryło idee wolności, aby stała się ona fundamentem życia społecznego. Wolność okazuje się po prostu dla ludzkiego społeczeństwa "najlepszym wyjściem z sytuacji".

artur miedzyrzecki

Nie myśl, że to twój charakter im się nie podoba
Twoja słabość albo świetne usposobienie
Że nie podoba się im twój krytyczny umysł
Albo twoja wiara zaciekle
Albo wyżynny lot niesfornej twojej duszy
Albo miłosne twoje zniewolenie

Pora byś wiedział że nie podobasz im się cały
Taki jaki jesteś i cokolwiek byś zrobił i mówił
I nie ja będę ci opowiadał
Jaka to czarna nienawiść jadowita
I kim są zabójcy Boga
I trzebicieli ludów

Zbigniew
Brzezinski

PLAN GRY (fragmenty)

Porównawcze studia rozwoju społeczno-ekonomicznego, jak na przykład praca profesora Cyryla Black "Soviet Society: Comparative View (1968) udowadniają, że po 50 latach komunizmu Związek Sowiecki wcale nie stoi wyżej pod względem głównych wskaźników społecznych i gospodarczych, niż stał na początku bieżącego stulecia. Black wyciąga z tego następujący wniosek:

"Zperspektywy 50 lat porównawcza sytuacja ZSRR pod względem kompleksowych, ekonomicznych i społecznych wskaźników na jednego mieszkańca zmieniała się w bardziej istotny sposób. Na tyle, na ile pozwalają ocenić raczej ograniczone dane, Związek Sowiecki nie przegonił od 1917 roku ani jednego kraju, być może z wyjątkiem Włoch, a 19 czy 20 krajów, które dzisiaj wyprzedza Związek Radziecki, wyprzedzały go również w roku 1919 i Rosja carska w roku 1900. Dochód narodowy Włoch w przeliczeniu na jednego mieszkańca, który dziś ustępuje nieco dochodowi ZSRR, był 50 lat temu nieco wyższy od sowieckiego".

Profesor Black pisał te słowa w 1968 roku. W ostatnich latach Włochy przegoniły Związek Sowiecki w większości podawanych wskaźników w przeliczeniu na jednego mieszkańca.

Mówiąc innymi słowy, nieustanne społeczne umartwienia, których doświadczył każdy obywatel Sowietów, przyniosły w najlepszym razie porównywalne rezultaty z osiągnięciami innych społeczeństw, które doszły do nich znacznie mniejszym wysiłkiem społecznym.

Obraz życia społecznego i kulturalnego Związku Sowieckiego jest równie ponury, co życia gospodarczego. Przeprowadzane ostatnio badania wskazują na bezprecedensowy spadek średniej długości życia mężczyzn z 66 lat w roku 1965 do niespełna 62 lat w roku 1982. Śmiertelność niemowląt wzrosła niepokojąco osiągając poziom 40 na 1000 urodzin, to znaczy trzy razy więcej, niż na Zachodzie i mniej więcej tyle, co w krajach słabo rozwiniętych. Ilość zgonów spowodowanych chorobami serca podwoiła się w latach 1960 - 1980. W minionych kilku latach mieszkańcy Związku Sowieckiego poświęcili na zakupy alkoholu prawie 17 procent budżetu domowego, gdy na Zachodzie przeznacza się na ten cel maksymalnie 6 procent.

Generalnym rezultatem obecnego stanu Związku Sowieckiego jest ideologiczny rozpad kraju i utrata rewolucyjnej atrakcyjności za granicą. Na użytek wewnętrzny ideologia została zastąpiona przez niekończące się mechanizmy powtarzania sloganów. Ideologiczny cynizm i polityczny oportunizm panoszą się wszędzie. Poświęcenie dla przekształcenia społeczeństwa w bardziej sprawiedliwe zostało zastąpione przez egocentryczne oficjalne kłamstwa. Surowość systemu łagodzona jest w życiu codziennym przez wszechobecną korupcję, która przeżarła całą rządzącą biurokrację. Jeżeli w przyszłości będzie się mówiło o wierze, która charakteryzowała komunistów sowieckich w czasach Lenina i o podszytym strachem spartańskim poświęceniu czasów stalinowskich, to o ostatnich latach sowieckiego życia publicznego będzie się mówiło jako o okresie, w którym główną motywacją była żądza korzyści osobistych, zaś władza polityczna była najlepszą drogą osiągnięcia dyskretnie zakamuflowanego wygodnego życia prywatnego.

Sytuacje Kremla pogarsza niewielka szansa, aby kierownictwu sowieckiemu udało się w możliwej

do przewidzenia przyszłości przewyciężyć narosłe od lat kwestie. Trzy ściśle związane ze sobą czynniki utrwalają negatywne aspekty systemu. Pierwszym jest wielonarodowy charakter sowieckiego państwa. Opiera się ono na wielkorusyjskiej supremacji i w efekcie jest to państwo rosyjskie. Choć oficjalny mity głosi, że Rosja jest tylko jedną z republik, ale w chwili roztargnienia czołowy przywódca sowiecki Michaił Gorbaczow ujawnił prawdziwe uczucia dominującej elity rosyjskiej, gdy w czerwcu 1985 roku podczas publicznego wiecu w Kijowie wymknęły mu się słowa: "Dla wszystkich ludzi, którzy pragną swojego dobra, Rosja, chciałem powiedzieć – Związek Radziecki, miałem na myśli... tak ją teraz nazywamy... i tym w istocie jest... jest ona dla nich bastionem oporu".

Decentralizacja imperium oznacza jego upadek. Rosyjska elita instynktownie wyczuwa, że każda bardziej istotna decentralizacja, nawet, jeśli początkowo ograniczona zostanie tylko do gospodarki, umocni w rezultacie istniejące potencjalnie separatystyczne dążenia nie-rosyjskich narodów zamieszkujących Związek Sowiecki. Decentralizacja ekonomiczna pociągnie za sobą bez wątpienia polityczną, a od niej już tylko krok od emancypacji narodowej. Niepokoje Rosjan w tym względzie wzmagają trendy demograficzne. Wskazują one wyraźnie na schyłek dominującej pozycji Wielkorusów. W latach 70-tych Rosjanie przestali być większością etniczną Związku Sowieckiego i dalsze kurczenie się tej grupy ludnościowej jest nieuchronne. Wśród osiemnastolatków rocznika 1980 Rosjan będzie 48 procent. Prognozy na rok 1990 zakładają, że Rosjan będzie ogółem już tylko 43 procent, innych Słowian 18 procent, muzułmanów 20 procent i 19 procent "innych".

Na dłuższą metę polityczna aspiracja narodowości nie-rosyjskich stana się pięta achillesowa Związku Sowieckiego. Już samo istnienie tych narodowości uniemożliwia ewolucję Związku Sowieckiego w kierunku bardziej nowoczesnego systemu, a z biegiem czasu nie-Rosjanie mogą stać się aktywniejsi politycznie, zwłaszcza jeśli zostaną do tego zachęceni przez świat zewnętrzny. Dla muzułmanów istnienie nieopdległych państw wyznawców islamu, z których kilka przeżywa odrodzenie religijne, musi stać się pewnego dnia necącym przykładem. Dla Ukraińców, których jest ponad 40 milionów i których niezależne państwo liczyłoby się na arenie europejskiej, stała uległość wobec Moskwy jest źródłem rosnących frustracji. Natomiast dla Rosjan autentyczna, szeroko zakrojona decentralizacja sowieckiego systemu, choćby tylko ekonomiczna, oznacza śmiertelne zagrożenie dla ich supremacji imperialnej. Trudno bowiem określić, co oznacza "tylko ekonomiczna decentralizacja" w kategoriach politycznych Związku Sowieckiego. Musiałaby ona oznaczać większy stopień autonomii dla nie-Rosjan, którzy w takiej sytuacji mogliby przekształcić większą samodzielność ekonomiczną w rosnące samostanowienie polityczne.

Dla większości Wielkorusów powyższa wizja jest przerażająca. Każda istotniejsza zmiana na rzecz samostanowienia narodów nie-rosyjskich tworzy zagrożenie dla przewagi terytorialnej Rosjan i może nawet stanowić biologiczne zagrożenie dla narodowego istnienia Wielkorusów. Rodzi się więc wątpliwość, dokąd może zaprowadzić autentyczna decentralizacja sowiecka, akceptacja bardziej demokratycznych form oraz instytucjonalizacja pluralizmu? Gdzie, prawdę mówiąc, można nakreślić linie, dzielące Wielkorusów od innych narodowości, biorąc pod uwagę mieszanie się ludności w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Brak jasnych odpowiedzi tworzy narastające napięcie. Może dojść do gwałtownych konfrontacji w wielu różnych regionach Związku Sowieckiego, na przykład w republikach nadbałtyckich, gdzie osiedlono wielu znienawidzonych

Wielkorusów, w mieszanych kulturowo okręgach Białorusi i Ukrainy oraz z pewnością na krańcach republik kaukaskich i środkowoazjatyckich.

Rozpad zamorskich posiadłości imperium brytyjskiego czy francuskiego nie oznaczał końca Wielkiej Brytanii czy Francji. Rozmontowanie lądowego imperium wielkorusyjskiego, którego terytoria graniczą ze sobą, zagrażać będzie samej Rosji, gdyż nie ma ona naturalnych granic. Trudności z jakimi borykała się Francja w Algierii okazały się niczym w porównaniu z potencjalnymi problemami na peryferiach ziem czysto wielkorusyjskich. Każda próba określenia narodowych granic może być krwawa i pełna zamieszania. Świadomość takiej perspektywy czyni niemal każdego Wielkorusa instynktownie ostrożnym wobec jakichkolwiek istotniejszych prób przekazania komukolwiek centralnej władzy Moskwy. Ten instynkt przeżycia nadaje autokratycznemu, wysoce scentralizowanemu i imperialnemu systemowi sowieckiemu jego niezwykłą trwałość. Neutralizuje on wszelkie rozterki wewnętrzne i zmęczenie zarządzaniem imperium, które zmusiło Brytyjczyków i Francuzów do akceptacji demontażu ich posiadłości imperialnych. Z drugiej strony jednak ten sam instynkt utrwala mało wydajny, marnotrawny społecznie i niepoczytalny system sowieckiej dyktatury.

Drugim czynnikiem umacniającym wielkorusyjską skłonność do utrzymywania scentralizowanego, choćby i niewydolnego, systemu władzy jest postępująca militarystyka sowieckiego społeczeństwa. Gdy ideologia słabnie i zanika, etos wojskowy wraz z tradycyjnym nacjonalizmem rosyjskim staje się politycznym zwornikiem utrzymującym kraj w całości. Gdy siła militarna stanowi podstawę pretensji do posiadania statusu mocarstwa globalnego, elita wojskowa znajduje się w pozycji uprzywilejowanej, a wojskowi faworyzują centralizację państwa. Tylko scentralizowane państwo jest zdolne zaspokoić potrzeby armii i może usprawiedliwić gigantyczne nakłady finansowe na rzecz wojska.

Wydatki takie są społecznie niszczące, zwłaszcza gdy utrzymuje się je na wysokim poziomie przez ostatnie dwadzieścia lat. Dla wciąż biednego i zacofanego społeczeństwa roczne wydatki militarne pochłaniają blisko 15 procent dochodu narodowego brutto są gigantycznym obciążeniem. Sowiecki system obliczania kosztów oparty na arbitralnie ustalonej strukturze cen faworyzuje wyraźnie sektor wojskowy i w rezultacie społeczne koszty wydatków wojskowych muszą być dużo większe. Zważywszy, że przeznaczony na cele wojskowe procent sowieckiego budżetu jest przeszło dwa razy większy, niż amerykański, a amerykański dochód narodowy jest prawie dwa razy większy, niż sowiecki, to obywatel sowiecki ponosi prawie czterokrotnie większy ciężar wydatków wojskowych niż znacznie od niego zamożniejszy obywatel Stanów Zjednoczonych.

Pierwszeństwo przyznane potęgze wojskowej nie tylko wzmacnia centralizm państwowy, ale również wymusza na całym społeczeństwie uległość wobec szkolenia wojskowego i militarnej indokrynacji. Ma to społecznie koordynujące działanie. Arnold Toynbee pisał w "Study of history" (1947), że "militaryzm był od dawna najpopularniejszą przyczyną rozpadu cywilizacji. Cztery czy pięć minionych tysiącleci było świadkiem tuzinów takich upadków, o których wspominają zachowane do naszych czasów dokumenty i świadectwa. Militarizm kruszy cywilizacje tworząc państwa lokalne, których ludność namawiana jest do starcia z obcymi w niszczącej, bratobójczej walce. W tym samobójczym procesie cała tkanka społeczna staje się paliwem rzucanym dla podsycaenia wiecznego głodu ognia płonącego w spiżowym brzuchu Molocha".

Trzecim czynnikiem, utrwalającym socjo-ekonomiczne aktywa jest tradycja komunistyczna. Z biegiem

lat tradycja ta stała się pajęczyną różnych przywilejów i uprawnień wpisanych w scentralizowany i zbiurokratyzowany system. Gdyby Związek Sowiecki nie był państwem komunistycznym, jego rozwój społeczno-gospodarczy postępowałby zapewne szybciej, byłyby bardziej zrównoważony i lepiej odpowiadałby dążeniom ludzi. Studia nad porównawczym rozwojem, w których wykorzystano niektóre informacje o rozwoju Rosji pochodzące sprzed rewolucji bolszewickiej, potwierdzają to bardzo wyraźnie. Nic innego jak stalinowska kolektywizacja zrujnowała sowieckie rolnictwo. To właśnie leninowsko-stalinowska koncepcja dyktatury proletariatu doprowadziła do wymordowania kilku milionów najbardziej uzdolnionych obywateli Związku Radzieckiego. I oto właśnie leninowsko-stalinowska scheda dusi dziś nadal każdą twórczą aktywność w społeczeństwie sowieckim(...) Paradoksalnie – dla Stanów Zjednoczonych komunizm w Rosji był błogosławieństwem, gdyż zamknął na klucz niesłychanie utalentowanych i cierpliwych jej mieszkańców w systemie, który dusi, trwoni i niszczy wszelki potencjał intelektualny.

Przepaść technologiczna

(dane za rok 1983)

	Duże i średnie komputery	Na 1 mln mieszkańców
Stany Zjednoczone	96.500	412
Wspólny Rynek	23.400	135
Japonia	16.900	142
Związek Radziecki	3.040	11
Europa Wschodnia	brak danych	
	Małe komputery	
Stany Zjednoczone	1.000.000	4.273
Wspólny Rynek	240.000	1.387
Japonia	70.000	588
Związek Radziecki	22.000	80
Europa Wschodnia	brak danych	
	Roboty przemysłowe	
Stany Zjednoczone	44.700	196
Wspólny Rynek	51.877	201
Japonia	67.435	571
Związek Radziecki	3.000	11

(...) Podobne dane porównawcze ujawniają tę prawdę, że Związek Radziecki nie jest w stanie "wygrać" historycznego współzawodnictwa środkami pokojowymi. Może tego dokonać tylko wówczas, gdy uda mu się oderwać Europę Zachodnią i Japonię od Stanów Zjednoczonych, a następnie zarekwirować ich zasoby gospodarcze i technologiczne. Tak rewolucyjnej zmiany Moskwa nie może przeprowadzić bez odwołania się do swej potęgi militarnej. Związek Radziecki nie jest bowiem wystarczająco atrakcyjnym partnerem

gospodarczym, by znieść Europę Zachodnią lub Japonię do politycznego podporządkowania się, a sowiecki system społeczny nie ma w sobie dość magnetyzmu, aby zdobyć lojalność wiecznej młodzieży albo ubogich mieszkańców Europy Zachodniej lub Japonii.

Unikalny charakter jednowymiarowego wyzwania globalnego Moskwy zasadza się na fakcie, że Związek Radziecki jest w oczywisty sposób nie przygotowany do zapewnienia świata konstruktywnego i trwałego przodownictwa w przypadku, gdyby mu się udało, drogą militarnego przymusu, wysadzić Stany Zjednoczone z ich pozycji mocarstwa światowego numer 1. Związek Sowiecki nie jest w stanie zapewnić światu kierownictwa finansowego. Jego gospodarka nie może stać się lokomotywą globalnego postępu i technologicznego rozwoju. Sowiecka kultura masowa nie cieszy się szerszym zainteresowaniem, a czołowi intelektualiści i artyści sowieccy stale uciekają ze Związku Sowieckiego. W skali globalnej nie da się Sowietom zastąpić Stanów Zjednoczonych.

(...)

Imperia o charakterze represyjnym mają tendencje do ekspansji terytorialnej. (...) W wywiadzie udzielonym w 1983 roku Milovan Đilas trafnie porównał sowiecki system dominacji narodowej z Imperium Otomańskim. Zauważył, że oba systemy łączyły na najwyższym szczeblu władzy autorytet polityczny z religijnym lub ideologicznym, oraz, że w obu przypadkach w system władzy wpisany był ekspansjonizm. Imperium Otomańskie szukało w ekspansji bezpieczeństwa i ufności we własne siły. Nawet wówczas, gdy zaczęło się rozkładać, nie było w stanie przestać się rozszerzać. Kiedy ta ekspansja została zatrzymana, imperium zaczęło się powoli rozpadać w ogniu narodowych i społecznych rebelii". Dokonując swego porównania o daleko idących konsekwencjach Đilas doszedł do wniosku, że "na dłuższą metę Związek Radziecki musi się rozpaść, a rozleci się jeszcze szybciej, jeśli jego ekspansjonizm zostanie powstrzymany.

Wstrzymanie sowieckiego ekspansjonizmu zwłaszcza na trzech głównych frontach euroazjatyckich można ułatwić pobudzaniem zmian wewnątrz imperium.

Europa Wschodnia jest naturalnym czynnikiem rozpuszczającym imperialną władzę Moskwy. Podstawowa formuła polityczna, jaka powinny przyjąć Stany Zjednoczone, określona została ćwierć wieku temu przez Wilimama Griffitha na łamach "Foreign Affairs" i pozostaje ważna do dzisiaj: "Stany Zjednoczone powinny przyjąć politykę, którą można nazwać pokojowym zaangażowaniem w Europie Wschodniej. Polityka ta powinna:

1. Mieć na celu wzbudzanie większych różnic w bloku komunistycznym.
2. Zwiększać prawdopodobieństwo osiągnięcia przez kraje wschodnioeuropejskie większej niezależności politycznej od sowieckiej dominacji;
3. Doprowadzić w ten sposób do utworzenia pasa krajów neutralnych, które cieszyłyby się wolnością wyboru polityki wewnętrznej nie będąc jednocześnie wrogimi wobec Związku Sowieckiego i nie będąc członkami zachodnich sojuszy wojskowych.

Należy z całym naciskiem podkreślić, że celem polityki Waszyngtonu nie jest przekształcenie Europy Wschodniej w przedłużenie NATO. Stany Zjednoczone winny dążyć do wyemancypowania się Europy Wschodniej, powinny zmierzać do stworzenia sytuacji, która byłaby praktycznie odbiciem sowieckich ambicji w Europie Wschodniej, do przebudowy istoty stosunków Europy Wschodniej z Moskwą bez rujnowania

ich ram formalnych.

Panujące w Europie Wschodniej warunki są sprzyjające. Narastające trudności społeczno-gospodarcze w Związku Sowieckim, ewidentne niepokoje polityczne w Polsce, możliwość poważnego kryzysu politycznego w Rumunii stwarzają w sumie nie lada kłopoty dla Kremla. Utrzymanie kontroli nad całym imperium sowieckim wymaga ustabilizowanej sytuacji w Europie Wschodniej, ale stabilizacja w Europie Wschodniej wymaga dania jej większego udziału w sowieckich zasobach i odkręcenia politycznej śruby. Z oceny pierwszych posunięć Gorbaczowa wynika, że czyni on coś całkiem przeciwnego: Moskwa zmniejsza swą pomoc gospodarczą dla Europy Wschodniej i coraz silniej domaga się większej integracji gospodarczej i politycznej. Nawet wschodnioeuropejskie elity komunistyczne nie uważają takiej polityki za odpowiednią.

(...) Warto raz jeszcze podkreślić, że centralnym hasłem pokojowego zaangażowania się Zachodu w Europie Wschodniej winno być dążenie do swobody i dobrobytu. Nic więcej. Moskwa nie zaakceptuje żadnych zmian politycznych, które mogą ograniczyć jej władzę. Historia uczy jednak, że Moskwa dostosowuje się do stopniowych zmian, których cofnięcie lub wstrzymanie uważa za zbyt kosztowne. Sowiecka jałowość ideologiczna i gospodarcza jest wystarczającym impulsem do postępowych zmian w Europie Środkowej. realia polityczne mogą tam zostać zmienione bez formalnych zmian politycznych.

Polska skazana jest na odgrywanie czołowej roli w tym procesie. Polska jest krajem o decydującym znaczeniu dla sowieckiego panowania nad Europą Wschodnią i dlatego zmiany w Polsce tak żywo interesują Kreml. Przywódcy Kremla pragną Polski uległej, spokojnej i najlepiej – słabej. Politycznie podzielona, ekonomicznie zapóźniona i społecznie zdemoralizowana Polska jest w mniejszym stopniu zdolna rzucić wyzwanie sowieckiemu panowaniu, i jest to formuła, która Moskwa stosuje wobec Polski od czasów rozbiorów w XVIII wieku. Dzisiejsza Polska jest jednak narodowościowo i religijnie bardziej jednorodna, niż kiedykolwiek w przeszłości, gdyż straciła swe mniejszości etniczne. W efekcie Moskwa stoi przed dylematem: jej starania osiągnięcia dominacji drogą wypróbowanej metody "dziel i rządź" mogą spowodować niekontrolowany wybuch, rebelię zrodzoną z narodowej frustracji i desperacji. rebelię taką Moskwa będzie wprawdzie mogła łatwo stłumić, ale koszty takiego kroku działają hamująco.

Pomimo moskiewskich obaw i stanu wojennego, w Polsce udało się wymusić pewien margines pozwalający na zachowanie odmienności narodowej i religijnej. To z kolei podsyca świadomość własnej wartości. W rezultacie pojawiło się quasi-niezależne społeczeństwo i rośnie ciśnienie żądań dalszych zmian w charakterze reżimu oraz w stosunkach ze Związkiem Radzieckim. Większość Polaków rozumie, że zmiany takie muszą się dokonywać stopniowo i ich celem nie może być zerwanie z Moskwą. Stopniowe i pokojowe zmiany mogą ewentualnie doprowadzić do bardziej równoprawnych stosunków między Moskwą a Warszawą. Krok taki spotęgowałby wschodnioeuropejską autonomię a jednocześnie upewnił Moskwę, że ani Polska, ani Europa Wschodnia nie zostaną znecone do obozu przeciwnika. dalszych zmian w charakterze reżimu oraz w stosunkach ze Związkiem Radzieckim. Większość Polaków rozumie, że zmiany takie muszą się dokonywać stopniowo i ich celem nie może być zerwanie z Moskwą. Stopniowe i pokojowe zmiany mogą ewentualnie doprowadzić do bardziej równoprawnych stosunków między Moskwą a Warszawą. Krok taki spotęgowałby wschodnioeuropejską autonomię a jednocześnie upewnił Moskwę, że ani Polska, ani Europa Wschodnia nie zostaną znecone do obozu przeciwnika.

Marian
Zdziechowski

JAK UMIERAJĄ CYWILIZACJE

I

Różne wymieniały przyczyny upadku Rzymu – potworność absolutyzmu imperatorów, który przeistaczał się w samowolę i ekonomicznie wysysał ludność podatkami – rosnącą w życiu państwowym przewagę zarówno warstw niższych, które nie rozumiały interesów państwa, jak też podległych Rzymowi żywiołów barbarzyńskich, którym interesy te były obce – szerzenie się chrześcijaństwa, które w najgłębszej istocie było negacją państwowości... Wszystko to jednak, zdaniem Ferrero, nie spowodowałoby katastrofy tak gwałtownej i powszechnej, gdyby nie dołączył do tego straszny przypadek polityczny, który wszystko przyspieszył i uniemożliwił działanie wszelkich środków zapobiegawczych.

W roku 232, gdy cesarz Aleksander Sewer padał ofiarą spisku zbuntowanych legionistów, cywilizacja rzymska była w Europie, w Azji, w Afryce potęgą wielką i jednolitą, której jeszcze nie naruszyły, przynajmniej z pozoru, żadne działania sił wywrotowych. Armie były liczne i wyćwiczone, administracja – poprawna, sztuki piękne kwitnęły, filozofie i literatura uprawiano gorliwie, zaś nauka prawa miała przedstawicieli jakich świat nie widział i pociągała umysły szlachetniejsze widokiem owocnej pracy nad udoskonaleniem i wzmocnieniem państwa, którego siłę stanowiło to, że wszelkie podwładne cesarstwu narody obdarzało jednako, wynikająca z odwiecznych zasad rozumu i sumienia sprawiedliwością. Mineło 50 lat – i wszystko się zmieniło: cywilizacja jest w stanie agonii, cesarstwo przedstawia jedną wielką ruinę, w której sroży się despotyzm równie okrutny, jak słaby. Jak to się stało? – pytamy wraz z Ferrero.

Cesarstwo Rzymskie nie miało dynastii dziedzicznej. W zasadzie cesarza obierał lud rzymski, zgromadzony w komicjach, po czym wybór ten zatwierdzał senat osobną "lex de imperio". Ale już w końcu I wieku komicje były fikcją; cesarz otrzymywał władzę wprost od senatu. Nie znaczy to, że senat zawsze obierał cesarza; był za słaby i zwykle poddawał się prądowi chwili, wpływom i woli jednostek potężnych. Bądź co bądź był powagą najwyższą, źródłem autorytetu – i cesarz stawiał się władcą prawowitym dopiero z chwilą, gdy mu lex de imperio przez senat została wręczona. Jako instytucja arystokratyczna, do której tylko nieliczne rody miały dostęp, senat uosabiał ciągłość tradycji – i to podwajało jego powagę. Ale każda instytucja, aby żyć, wciąż musi czerpać soki żywotne z gruntu, na którym wyrosła i z atmosfery, która oddycha. Innymi słowy, musi sobie przetwarzać nowe, wznoszone przez ducha czasu pierwiastki. Toteż trafna miała myśl cesarz Wespazjan, gdy rozszerzał senat, dopuszczając do niego i do stanu rycerskiego tysiąc nowych rodów, które wybrał spośród znaczniejszych w prowincjach. Dzięki tej formie można go, mówi Ferrero, uznać za drugiego po Augustie twórcę cesarstwa; po nim następuje epoka pokoju i pomyślności, która zdobią imiona Trajana, Adriana, Antonina i Marka Aureliusza.

Ten ostatni, choć mędrzec, wyznawca filozofii stoickiej, powziął niemądre myśli przybrania sobie, jako towarzysza, czyli drugiego imperatora, swego syna Commodusa, celem zapewnienia mu następstwa po sobie. Młody, niewyrobiony, bez charakteru i z najgorszymi popędami, Commodus, objawszy tron po śmierci ojca, od razu wszedł w gwałtowny zatarg z senatem, wywiązała się wojna domowa, w której senat nie zdołał zapanować nad sytuacją. Wtedy to, bez porozumienia się z senatem,

a wsparty przez swoje legiony, zagarnął władze imperatorską Septym Sewer. Tym samym zadał senatowi śmiertelny cios i jego panowanie było stopniowym dobijaniem powalonego senatu. Opornym senatorom konfiskował majątki albo karał śmiercią; powolnych poniżał, odbierając im resztki władzy i znaczenia, a rozdając ludziom niższych stanów urzędy, które dotychczas były wyłącznym przywilejem senatorów. Co gorsza, ufając tylko swoim legionom, uczynił je potęgą wzniesioną wysoko ponad senat – i, jako wódz naczelny, on pierwszy miał zuchwałość kazać sobie tytułować "dominus" – panem, czyli monarcha samowładnym. Słowem, na zwaliskach instytucji najstarszej i najdoskonalszej, w majestacie której, uświęconym wiekami chwały i potęgi, cesarze czerpali prawo do władzy, zapanował despotyzm militarny. I to było owym "strasznym przypadkiem", może – dodaje Ferrero – najstraszniejszym w historii, który przyspieszył katastrofę Rzymu i cywilizacji starożytnej.

Po śmierci Septyma Sewera jego synowie kłóca się o władzę; następują nowe zamieszki. Nauczony doświadczeniem, a szlachetny w pomysłach i zamiarach Aleksander Sewer stara się przywrócić senatowi utracone znaczenie i iść śladami Trajana i Marka Aureliusza, ale wywołuje to bunt w wojskach i cesarz pada z ręki spiskowców. Odtąd władza cesarska staje się igraszka w rękach pretorianów, cesarstwo – widownią krwawych i wycieńczających wojen domowych. Nic dziwnego: wskutek unicestwienia powagi senatu Rzym ujrzał się pozbawionym zasady uczącej odróżniać władze prawowitą od władzy przywłaszczonej – bez instytucji dość silnej, aby zasadę taką narzucić; miał do rozwiązania zagadnienie straszne przez to, że od rozwiązania zależały dalsze losy cesarstwa, jego istnienie – zagadnienie polegające na wykryciu i ustanowieniu nowego pryncypu autorytetu i pracowitości.

Daremne trudy. Cesarz Dioklecjan był indywidualnością potężną, administratorem znakomitym, lecz usiłując ratować starą ideologię, stary porządek, miał przeciw sobie chrześcijaństwo. Ono jedno nie tylko ocalało, lecz wzmocniło się wśród wstrząśnień, od których rozpadło się cesarstwo. Ale chrześcijaństwo wywracało do góry dnem starożytny pogląd na świat objawiając, że owym celem najwyższym człowieka, w którym wszystkie inne się zawierają, nie jest dobro ogólne (*salus reipublicae*), lecz Bóg, czyli zdobywanie doskonałości indywidualnej, którą człowiek może posiadać bez względu na to, jakie są rzady i jakie instytucje polityczne i społeczne. Piękny protest moralny przeciw zgniliznie, w której pogrążał się świat pogański, chrześcijaństwo pościagało wszystkie dusze głębsze ku sobie, ku głębiom życia wewnętrznego, ale tym samym odciągało je od życia publicznego, od służby państwowej. W tym znaczeniu stawało się bez wiedzy i woli swoich wyznawców pierwiastkiem antypaństwowym. Triumf Ewangelii Chrystusa, jako wynik wstrząśnień, przez które przechodził III w., był zdarzeniem najważniejszym owej epoki, wszystko, co najlepsze, znalazło się w szeregach winnicy Chrystusowej, ale czy to pogłębienie duchowe i wyłączne skupienie, w jednym tylko kierunku nie prowadziło za sobą zaniku tych sił i uzdolnień, które są niezbędne w kierowaniu tak skomplikowanym organizmem, jakim jest państwo?

Cesarz Konstantyn, widząc bezskuteczność walk Dioklecjana z chrześcijaństwem i daremność jego wysiłków ku ratowaniu imperium, zawrócił w stronę przeciwną, przyjął chrześcijaństwo, ażeby tę nową potęgę wyzyskać dla celów państwa. Następstwa wykazały, że się spóźnił; stary Rzym i wraz z nim stara cywilizacja dogorywały. Wznowienie instytucji republikańskiej było już niemożliwe, należało

przeto ustalić silną władzę monarszą, ale na jakiej podstawie ją oprzeć, skoro owa podstawa wszelkiego porządku legalnego, jaka był senat, została zniszczona, idea zaś monarchii dziedzicznej – obca tradycjom Rzymu – nie mogła znaleźć gruntu dla siebie w uczuciach ludu? Z tego powodu Konstantyn musiał przenieść stolicę państwa na Wschód, na macierzyste łono monarchizmu, do Bizancjum. Dla Rzymu, dla starego cesarskiego Rzymu nadziei ratunku już nie było.

Powtarzamy. Różne czynniki rozkładu, zaznaczające się w każdej starej cywilizacji, zaznaczyły się również w Rzymie, ale koniec Rzymu został niezmiernie przyspieszony przez ów straszny przypadek, jakim był przewrót dokonany wprawna ręką, lecz niewprawna myślą żołdaka, który tylko siłą fizyczną cenił i w nią wierzył.

Czy wojna światowa była takim samym niespodziewanym wypadkiem, jak zamach Septyma Sewera na senat? Tak twierdzi Ferrero. W twierdzeniu tym jest przesada. Groźba wielkiej wojny wisiała nad Europą od szeregu lat. Przygotowywały ją coraz bardziej zaostrzające się antagonizmy: rosyjsko-niemiecki i rosyjsko-austriacki na Bliskim Wschodzie, angielsko-niemiecki na rynkach świata, francusko-niemiecki jako następstwo zaboru Alzacji i Lotaryngii w 1871 r. Inaczej jak orezem trudno go było rozplatać, ale nie było to niemożliwe. Zdrowy rozsadek nakazywał załatwiać przeciwieństwa polityczne i ekonomiczne drogą układów i w ten sposób – przy dobrej woli kierowników państwa – można było opóźniać wybuch ad infinitum.

Przypadkiem niespodzianym, który nagle zaognił namietności i udaremnił wysiłki pokojowe, stał się zamach na arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Sarajewie i jego tragiczna śmierć. Ten niespodziany przypadek przypomina pod względem następstw – lecz w znacznie większych rozmiarach – to, co się stało po owej krótkiej rewolucji, która pod wodzą Septyma Sewera zniszczyła majestat powagi moralnej senatu, nie umiając zaś tego zastąpić żadną ideą, żadną zasadą wyższą, rzucała światłowładne Imperium Rzymskie ślepym namietnościom i siłom na pastwę. Ta ostoja ładu wewnętrznego jaka był autorytet senatu w Rzymie, był monarchizm "z łaski Bożej" w potężnych monarchiach Europy środkowej i północnej, demokratyczna zasada woli ludu w państwach zachodnich. Autorytet obu zasad zniszczyła wojna.

"Tymczasem – pisał Ferrero – my politykujemy tak, jak gdyby chodziło tylko o ustalenie stosunku między zwycięzcami z jednej, a zwyciężonymi z drugiej strony, jak gdyby nic innego się nie stało, jak przeniesienie potęgi i prestiżu politycznego od jednej grupy mocarstw do drugiej". Tego pojąć nie umiemy, że rok 1917 był ostatnim aktem dramatu, który rozgrywał się w ciągu stuleci – ostatnim, bo zmiotł z widowni potężną dynastię rosyjską, a za nią poszły potężne, a znacznie starsze dynastie Habsburgów, Hohenzollernów i inne niemieckie, zaś dni tych dynastii, co pozostały są policzone.

II

Zasada monarchiczna utraciła w wojnie światowej ostatnie swe podpory. Stoimy przed tym samym niebezpieczeństwem rozbicia naszej cywilizacji, przed którym stanął Rzym w III w., nie widzimy bowiem i nie wiemy, jakim nowym autorytetem moglibyśmy zastąpić pryncyp monarchistyczny.

A demokracja? – powiedzą nam. Wprawdzie na początku wojny ogłoszono, że sprzymierzone nie

państwa, a demokracje świata wszczęły walkę w celu uratowania świata z jego cywilizacją od militarystyki niemieckiej, ale było to tylko frazesem. Tylko ludzie bardzo naiwni mogli uwierzyć, że po pokonaniu Niemiec i Austro-Węgier militarystyka zniknie z oblicza ziemi i nastąpi rozkoszna idylla zbratanych i szczęśliwych narodów.

Pryncyp demokratyczny, w imię którego postanowiono zniszczyć państwa centralne, zbankrutował i zbankrutował sromotnie: dowodem tego Rosja sowiecka. Miał być rekojmią ładu i postępu; nie jest ani jednym ani drugim.

Miał on swoją wiosnę, lecz krótka. W epoce między 1815-1848 monarchizmowi i dynastiom przeciwstawiano zasadę suwerenności ludu, którą pojmowano mistycznie, jako źródło prawdy i dobra. Suwerenność tę proklamowały rewolucje 1848 roku, ale zwycięzcy suwerenni nie mieli odwagi wziąć władzy w swoje ręce. Wziął ją we Francji Napoleon III, zaś w Niemczech sejm Frankfurcki, obrany na zasadzie głosowania powszechnego, począł szukać nowego dla Niemiec cesarza. Klęska idei demokratycznej była tak dotkliwa, że jej deprymujące działanie na demokrację widzimy w ciągu aż trzech pokoleń.

Usiłovali wykorzystać to dla swoich celów monarchowie i kierownicy państw. Stało przed nimi następujące pytanie: jak monarcha ma kierować sprawami państwa wspólnie z demokracją i zarazem tak, aby demokracja była jednak od niego zależna. Droga prowadząca do pomyślnego rozwiązania szedł Napoleon III, ale przeszkodziła mu, niszczyć jego dzieło, katastrofa pod Sedanem. Co się jemu nie udało szczęśliwie miał dokonać jego zwycięzca - Bismarck. Epokę hegemonii niemieckiej (1870-1914) określić można jak jako "triumf zasady monarchicznej, postępującej się demokracja dla swoich celów".

Dziś monarchizm leży powalony na całej linii. Ale czy można powiedzieć, że zwyciężyła demokracja? Nie, bo jej triumf jest z natury swej krótkotrwały, jest tylko etapem na drodze do tyranii. Bo czym jest demokracja? Jest panowaniem liczby, ale nie tylko nad przywilejem, lecz nad wiedzą i rozumem, więc panowaniem materii nad duchem, supremacją karierowiczów-demagogów wiodących za sobą spódlone agitacja i roznamietnione masy. Mówiąc to nie głoszę niczego nowego, powtarzam wniosek, do którego dochodzili niezmiennie wszyscy myśliciele z duszą i sercem, którzy nad przedmiotem tym się zastanawiali. "Demokratyczny jest ten rząd - powiedział Emil Fauget - w którym zasługa nigdy uznania nie znajduje i znaleźć nie może". Nic dziwnego: demokrację pochłania rządza równości i pożera ją ogniem namiętności nienasyconej i nieposkromionej. "Oni woleli - słowa V. Cherbulieza - niewolę z równością, niż wolność bez niej... Gdyby wzdychania ich mogły być wysłuchane, to państwo - mając w ręku losy swoich obywateli - tak by się rozporządziło, że wszyscy mieliby jednaki wzrost, jednaka szerokość pleców, jednaka giętkość w kolanach i łokciach, te same zwoje mózgowe, te same obyczaje, upodobania i idee i, o ile byłoby to możliwe, te same twarze". Cherbuliez był Szwajcarem i właśnie w tym najdemokratyczniejszym kraju Europy poddano ideę demokratyczną najsurowszej krytyce, tam dały się słyszeć najbardziej wymowne głosy ostrzegawcze.

Dla Karola Secretana, też Szwajcara, profesora Uniwersytetu w Lozannie, a jednego z najgłębszych myślicieli w drugiej połowie XIX w., fakt powszechnego triumfu kierunków demokratycznych był punktem wyjścia dla rozmyślań nie tylko o polityce i socjologii, ale o metafizycznych podstawach bytu. Uznawał

on słusność zasady demokratycznej lecz widział wszystkie jej groźne następstwa. Demokracja bowiem z natury swojej jest przeciwna wszelkiej wyższości; na miejsce najlepszych stawia tych, co jej schlebiają i w ten sposób przeistacza się w organ namietności tłumu. – "I w tę demokratyczną nizinę staczająca się mniej lub bardziej szybko wszystkie narody siłą własnej ciężkości i jeśli nie pojawia się jakieś niespodziane, świeże potęgi, cywilizacja w końcu zgaśnie w błocie powszechnego ogłupienia". Wyrazem takich zbawczych potęg mogłyby być, według Secretana, tylko jednostki wyższe, tylko ludzie z umysłem zdrowym i prawym sercem; ludzie przejęci świadomością powinności zdołaliby przeciwdziałać ogólnemu rozstrojowi i powstrzymać staczający się świat. Zaś świadomość wznosi nas od rzeczy z tego świata ku rzeczom wiecznym, prowadząc za sobą afirmację Boga, odpowiedzialności człowieka przed Bogiem i porządku moralnego we wszechświecie. Te myśli swoją, ściślej mówiąc, myśl Kanta, ten zbudowany na niej system wyłożył Secretan w książce, jednej z najpiękniejszych, jakie znam: "La Civilisation et la Croyance".

Jego współziomek, Fr.H.Amiel, profesor w Genewie i zarazem poeta, nie tworzył systemu filozoficznego zapisywał tylko w swoim dzienniku to, na co patrzył oraz nasuwające mu się z tego myśli ale dziennik ten, wydany po jego śmierci, arcydzieło myśli głębokiej, subtelnej, ubranej w mistrzowską formę, dał mu miejsce w szeregu owych nawiązań do XIX wieku umysłów, które na pograniczu między filozofią i literaturą stanęły.

Jeszcze w 1851 r. więc w epoce niemal powszechnej wiary w zbawienność ideałów demokracji, zapowiedział Amiel nieuniknioną w razie ich zwycięstwa niwelację duchową ludzkości: "przyszły statystyk zarejestruje rosnący postęp, ale moralista – stopniowy spadek, progres des choses, declin des ames". Inaczej być nie może, ludzkość odpokutować musi każdą fikcję, która przyjmuje jako prawdę, demokracja zaś polega na fikcji, że "głosowanie powszechne, a mądrość to to samo" i że przeto "większość posiada nie tylko siłę, lecz i rozum". Droga ta dojdzie ona "przez demagogię do absurdu, dając najgłupszym prawo wyrokowania o rzeczach najważniejszych"... Ci najgłupszy wpadają błąd z jednych głupstw w drugie, będzie to robiło wrażenie, że się coś zmienia – i każdą zmianę utożsamiają błąd z postępem"... Będziemy świadkami ogólnego obniżenia poziomu moralnego, a "kogoż to pocieszać może, że jak w V wieku najazd barbarzyńców na imperium Rzymskie, tak teraz straszliwy potop demokratyczny nie od razu zniszczy owoce i dzieła starej, wysokiej kultury". Natomiast jakże prędko zeszpeci on wszystko i zwulgaryzuje. I puściwszy swoją myśl w tym kierunku stawiał Amiel przed wnioskiem, do którego dziś dochodzą przyrodnicy stosujący zasadę entropii do zjawisk społecznych.

Tylko swój wniosek streszczał w formie pytania: "czy niwelacja powszechna nie jest prawem natury i czy dojście jej do skutku nie będzie końcem wszystkiego?" Innymi słowy: czy nie należałoby przypuszczać, że świat cała siła dąży do niszczenia tego, co sam zrodził? W takim razie "życie byłoby ślepą pogonią za swoją własną negacją, wysiłaniem się, aby co prędzej stało się to, czego ono najbardziej się obawia i nienawidzi – byłoby tkaniem sobie koszuli śmiertelnej i układaniem kamieni do własnego grobowca". W 1871 roku pod wrażeniem komuny paryskiej znowu rzucał on prorocze tym razem pytanie: "czy nie jest komunizm międzynarodowy tylko kwatermistrzem nihilizmu rosyjskiego, który wspólnym będzie grobem dla ras starych, jak łacińska i ras niewolniczych, jak słowiańska?"



Czyżby wycieczki te przeciw demokracji miały świadczyć, że wymienieni czterej pisarze byli stronnikami jakiejś czarnej reakcji? Nic podobnego. Wszyscy oni zdawali sobie sprawę z tego, że bieg historii zmierza ku demokracji i że biegu tego żadna siła nie powstrzyma. Więc przeszkadzać nie zamierzali i nie tylko dlatego, że nie mogli, że czuli się bezsilni; rozumieli także, że sama sprawiedliwość wymagała, aby ludzie mieli prawo mieć swoje zdanie, swój pogląd o rzeczach, które ich bezpośrednio obchodzą.

Jednak mieli oczy i widzieli, zastanawiali się więc nad groźnymi następstwami zwycięstwa idei demokratycznej, która realizując jedne po drugich swoje postulaty, wpadnie w końcu w otchłań nieuleczalnych absurdów. Ale przewidując i piętnując przyszłe zboczenia demokratyzmu, mierzyli oni w samą doktrynę; nie mieli przed okiem tych okazów zdegenerowanej ludzkości, na które dziś patrzymy, nie mieli sposobności dokładnego poznania, jaka będzie demokracja w praktyce.

Sposobność ta nie kazała na siebie długo czekać. Przeżyłem 25 lat mego życia w Krakowie i żywo stoją mi w pamięci pierwsze wyniki wprowadzenia V kurii wyborczej, która miała być zapowiedzią powszechnego głosowania. Do parlamentu w Wiedniu poczęli napływać demagodzy obiecujący swoim wyborcom złote góry; rozsiadły się tam figury, których nie dopuszczono by do żadnego porządnego towarzystwa – i poważny, piękny gmach, w którym przedtem poważni mężowie rozprawiali poważnie o sprawach państwa, stał się widownią karczemnych burd...Czy nie oznacza to końca parlamentaryzmu?" – zapytałem w 1092 r. wielkiego myśliciela rosyjskiego, prawnika z zawodu, b. profesora prawa państwowego, Borysa Cziczierina. – "Niestety, lepszej formy, niż parlamentaryzm – melancholijnie odpowiedział – ludzie dotychczas nie wymyślili i chyba nie wymyślą".

Znacznie później, już w epoce rewolucji rosyjskiej, ale jeszcze za rządów Kierenskiego, zdarzyło mi się spędzić w Petersburgu wieczór w towarzystwie prezesa delegacji włoskiej, markiza della Torreta, który miał wkrótce potem zostać ministrem spraw zagranicznych. "Po tak długiej i krwawej wojnie – dowodził – świat nie wróci do starego porządku, nastąpią wielkie reformy demokratyczne, nastąpią wszędzie, więc także i u nas we Włoszech". – "Czyżby Pan – zapytałem – dopuszczał nawet możliwość republiki?" – "We Włoszech – zawołał – nigdy – na przykładzie Francji widzimy, że republika oznacza rządy plutokracji, rozumiemy wszyscy, że osoba monarchy jest czynnikiem równowagi między plutokracją a tymi, których ona krzywdzi – ręką ładu wśród bezładu zwalczających się partii i klik".

Socjalista francuski, Fr.Delaisi, poświęcił swoją głośną książkę "La Democratie et les Financiers" wyjaśnieniu sobie i czytelnikowi, jak się to stać mogło, że wielki kapitał umiał przekształcić demokrację w znakomitą, gietka, a zarazem potężną broń do swoich rabunkowych względem państwa zamiarów. Powszechnie sadzą – czytamy tam – że finansjści są przeciwnikami demokracji; jest to błąd krzyczący. przeciwnie, są oni jej kierownikami i najwierniejszymi opiekunami, powiem więcej – jej rzeczywistymi wynalazcami. Z niej utworzyli oni ów chiński mur, poza którym mogą spokojnie matactwa swoje ukrywać; w niej mają najlepsze narzędzie do obrony w razie jakichkolwiek przeciwko nim skierowanych rozruchów".

Te zależność demokracji od wielkiego kapitału ktoś mógłby uważać za przywidzenie publicysty uniesionego namietnością polityczną. To samo jednak podniósł obecnie – i to do wysokości prawa kierującego biegiem dziejów – myśliciel większej miary, Oswald Spengler: "Gdy się mówi – dowodzi on – o wielkich przewrotach w imię idei demokratycznej dokonywanych, pamiętać trzeba, że demokracja i plutokracja to dwa jednoznaczne wyrazy"... Rewolucje zwalają królów i magnatów jakby po to, aby na ich miejsca usadowić bankierów ("Geldmenschen") – i "nic bardziej tragikomicznego, jak widok wszystkich tych nauczycieli wolności i reformatorów świata, którzy walczą z potęgą kapitału, a nie widzą i nie rozumieją, że tym samym ją popierają."¹ Demokracja stoi na powszechnym prawie wyborczym, za które ludzie szli niegdyś na śmierć i nie może być "wolności wyborów, gdzie nie ma wolności opinii publicznej, która despotycznie kieruje prasą będącą wolności tej wyrazem".

"Co jest prawda? – zapytuje dalej Spengler – dla tłumu prawda jest to, o czym się ciągle słyszy i czyta.... Trzy miesiące nagonki prasowej – i świat pozna prawdę... Żaden poskramiacz zwierząt nie posiada takiej władzy nad menażerią, jak gazeta nad tymi, co ją pilnie czytają. Wypuszcza, gdy tego potrzeba, czytający ludek, niby sfory psów, na ulice – i pedzi on ku wskazanemu celowi, rozbija szyby, szaleje, – aż nagle poskramiacz z prasy dać znak łaską, ludek cichnie i spokojnie się rozchodzi, każdy do swojego domu..."

"...Straszniejszej satyry na wolność myśli wyobrazić sobie nie można; dawniej nie wolno było myśleć swobodnie, dziś wolno, ale nikt swobodnie myśleć już nie potrafi, bo każdy jest pod władzą tego, co mu gazeta jego podszeptęła..." Czy znaczy to, że pod rządami demokracji, która rządzi finansjery, wielkie ideały zeszyły z widowni? Nie, one istnieją, lecz zwyciężają tylko w królestwie książek (im Reich der Bücher), które jest nie z tego świata... Tylko tam, w głębiach duszy pokój, za którym wzdychamy, staje się rzeczywistością, święty, Boży pokój pustelników, którzy odeszli od zgiełku świata; widowisko wzniosłe bezcelowości swojej bezcelowe i wzniosłe, jak pochód gwiazd na niebie... Można to podziwiać i można nad tym płakać – jak się komu podoba".

Z uczuciem dumy mogę tu stwierdzić, że Spenglera i tylu innych, którzy o potęgę wielkiego kapitału pisali, wyprzedził o wiele lat ów genialny, nie powiem myśliciel, ale genialny, bo darem potężnej wyobraźni obdarzony improwizator w rzeczach tak filozofii, jak socjologii, jakim był hr. W ojciech Dzieduszycki. Wszechmoc Lewiatana – tym wyrazem określił on kapitał – przedstawił jeszcze w r. 1902, w tryskających dowcipem dialogach¹. Ale nie poprzestał na tym. Z potęgą Lewiatana wiązało się ściśle zmaterializowanie świata, upadek religii. "Zgubę tylko – czytamy tam – można wróżyć rodzajowi ludzkiemu, który się nad tym mozoli, aby zabić w sobie duszę". Bo co człowieka naprawdę od zwierząt wyróżnia? Uczucie religijne." Bez niego byłoby tylko bardzo złośliwa a przemyślna i obrzydliwa małpa". I co te małpy robią gdy poczuja się panami świata? Dzieduszycki nie znał Rosji, mało się nią interesował, wyobraźnia poniosła go do Rzymu. Co z Rzymem, co z bazyliką św. Piotra robią przyszli władcy wiecznego miasta z gatunku przemyślnych, a złośliwych małp".

Najpierw robią z kościoła pomnik narodowy, miejsce zbeszczeszczone i pozbawione duszy preparat martwy, taki, jakim jest dziś św. Marcin w Neapolu, albo Certosa w Pawii, albo Sainte Chapelle w Paryżu.

Mszy nikt tam nie odprawia, modlić się nikt nie będzie, głupi strażnik bódzie oprowadzał trzody głupszych jeszcze turystów, którzy kapelusza nie zdejmą gapiąc się na grobowce, albo oglądając relikwie św. Piotra, przeniesione do zakrystii i tam w szklanej umieszczone skrzyni. I to będzie pierwsza faza. Potem pomyśla sobie, że szkoda tak ogromnego gmachu na jakieś muzealne zbiory i urządzi tam miejsce ludowej zabawy, po kaplicach będą różne sklepy, kupczyki będą pić piwo przed marmurową Madonną Michała Anioła, wszędzie będą bufety, widowiska w kościele, w kopule, a na konfesji apostoła ulicznicy śpiewać będą nierządne piosenki. W dni świąteczne orkiestra zagra kankana monstre na osobnym rusztowaniu za ołtarzem, a jakiś clown przebrany za papieża, otoczony orszakiem histrionów, będzie udawał, że błogosławi naród. To będzie druga faza. Potem - pokaże się szpara w kopule, więc stara kamienna kopuła zniknie i zastąpi ją imitacja, niedługo jednak spostrzeże się, że nie warto starego gmachu konserwować, więc go zrównają z ziemią, założą fabrykę pudrety a w Chicago zbudują z blachy pomalowanej ogromny model tej bazyliki, aż się sprzykrzy i będzie rozprzedany na bruch.

To będzie koniec.

Ale bazylika św. Piotra, chwała Bogu, stoi dotąd, codzienne odbywa się tam Służba Boża i stamtąd błogosławi Papież cały świat chrześcijański. Nie w bazylice św. Piotra spełnia się ponura wizja Dzieduszyckiego, lecz w zbeszczeszczonych i zniszczonych świątyniach Zbawiciela w Moskwie, Izaaka w Petersburgu.

Czerwona, bolszewicka dżuma zwalcza od chwili jej powstania, jak umiem i mogę. Za rzecz najgroźniejszą w rewolucji rosyjskiej uważam wypowiedzenie wojny Bogu. Niszcząc idee Boga, tym samym niszczy idee człowieka, jako istoty noszącej w sobie obraz i podobieństwo Boże. Myśla i dusza człowiek sięga ponad materię; bolszewizm, wypieniając z duszy jego wyższe idealne pierwiastki, deptał ją, plugawił, bestializował. Czy można wyobrazić sobie podlejszy cel? Staratem się to nieraz wykazać, w moje słowa wkładałem całą moc uczucia, naiwnie sądziłem, że niejednemu otworzą się oczy. Były grochem rzuconym o ścianę, bo kto, powtórze słowa znakomitego Niemca, ma dziś czas mieć duszę, kogo wzrusza walka o Boga, o duszę?

I słusznie w kołach emigracji rosyjskiej w Paryżu postawiono przed kilku laty kwestie bolszewizmu na nowej płaszczyźnie. "Zagadnieniem epoki naszej - mówił prof. Piotr Struwe - dzielącym ludzkość na dwa przeciwległe i wzajemnie wykluczające się światy, jest wolność, jest uczucie wolności. Jedni ją czują inni nie. Komu uczucia tego brak, ten jest urodzonym niewolnikiem i miejsce jego jest w państwie sowieńskim". Te myśli, z właściwą sobie siłą i plastycznością, rozwinął Miereżkowski: "Brak czucia wolności odbija się na obliczu tego, kto go nie zna. Ona jest czymś zupełnie innym, niż ja jestem, nie tylko duchowo, ale fizjologicznie, on innymi oddycha płucami. To, czym ja żyję, czym płonę, co kocham, to co jego zabija, w atmosferze wolności on się dusi. Jesteśmy świadkami powstawania nowego gatunku istot; stoimy przed straszliwą grozą inwazji antropoidów".

Zdawałoby się, że elementarne, z naturą człowieka zrośnięte uczucie godności ludzkiej nie zamierło jeszcze, że żyje w tych nawet, co się wyrzekli Boga i duszy. Wiele zapłona oburzeniem,

gdy im ktoś pieczęć podłości przyłoży do twarzy i nazwie ich, ponieważ dusza się w atmosferze wolności, istotami tylko podobnymi do człowieka, lecz pozbawionymi tego, co człowieka człowiekiem czyni. Gdzie tam! "Zrab nowej twórczej siły" - czytamy w polskim piśmku komunistycznym - to maszyna przetwarzająca człowieka na obraz i podobieństwo swoje".² Wtedy zamiast Boga - maszyna, człowiek - maszyna czy automat, więc "człowiek wyrzuty z indywidualności, z sumienia, człowiek z mentalnością szpiega, z duszą kata, a poddany dyscyplinie katorgi", słowem człowiek spodlony - oto ideał człowieka nowego. Rozmowę z nim możnaby streścić w następujący sposób: "Czyżbyście chcieli być idiotami moralnymi i nie wstydzić się tego? - Czego mamy się wstydzić? Co wy nazywacie zidioceniem moralnym jest najwyższym celem historii. Właśnie chodzi nam o człowieka bezforemnego, plastycznego, jak glina udeptana, pozbawionego więzi narodowej, tradycyjnej, pozbawionego wewnętrznej, autonomicznej więzi moralnej, odpowiedzialnego tylko przed zwierzchnikiem". Innymi słowy, spodlone, zdziczałe stado ludzi i kij dyktatora, czyniacy porządek w tym zdziczałym i spodlonym stadzie...

"...Opar krwi - słowa Artura Górskiego - z piwnic czerezwyczałek i smród moralny bestializmu w człowieku rozszedł się z Rosji po całym kosmosie, uderzył aż w gwiazdy".

Nie, gwiazdy płyną w niezmaconym spokoju po odwiecznych swoich szlakach, ale smród bolszewickiego bestializmu zaraził cały świat, tych nawet, co komunizm i Sowiety postanowili zmiażdżyć; w metodach walki i miażdżenia są bolszewikami z ducha.

Gdy imperium Rzymskie rozpadało się zawładnili nim barbarzyńcy, ale przyjęli religie i cywilizację ginącego świata. Nasza cywilizacja rozpadnie się - przepowiedział to już Ernest Renan - od wewnętrznego barbarzyństwa, i to - dodam - w postaci najohydniejszej, jaka da się pomyśleć; źle mówię, dotychczas nic podobnego nie dawało się pomyśleć. Przyznawano się do gwałtów, do okrucieństw, upatrując w tym dowód energii w dążeniu do celu. Ale kto stawiał świadomie spódlenie powszechne jako cel, kto do własnej podłości triumfalnie się przyznawał? Przed tym zjawiskiem niechybny rozkład i końca stoimy bezsilni i bezradni, ale trwajmy w oporze naszym, może jakiś nowy przypadek - zamiast nas gubić - tym razem uratuje nas.

¹ Cytat z artykułu Artura Górskiego pt. Obrachunki. Marchoń, Nr.3.

² Określenie L. Bertranda. Le Livre de consolation (Paris, Fayard).

Jerzy
Jedlicki

IDEA POSTĘPU Z PERSPEKTYWY DZISIEJSZEJ

Postęp wychodzi z mody. W świeżej pamięci jeszcze mamy czas, kiedy każde stonictwo, każdy ruch społeczny, każda idea filozoficzna i każdy akt polityczny, a nawet powieść lub obraz - musiał być albo "postępowe", albo "reakcyjne", przyspieszające pożądane przemiany lub usiłujące powstrzymać "kół

historii". Dziś kwalifikacje takie, wciąż napotymane w gazetach i przemówieniach, śmiesza martwą zużytego frazesu.

Uproszczeniem byłoby jednak mniemać, że ten brak odzewu jest tylko skutkiem językowych nadużyć, obnażania semantycznej pustki wzniosłych pojęć, nazbyt długo osłaniających mniej wzniosłe praktyki. Wydaje się, że powolne obumieranie Wielkiej Metafory rozwoju i postępu, znamienne przecież nie tylko dla naszej części Europy i nie tylko dla języka radykalnej lewicy, jest **o z n a k a** zjawiska znacznie głębszego, mianowicie zmiany ukierunkowania wyobraźni społecznej.

Idea postępu nie była nigdy doktryna jednoznaczna i dopuszczająca jakiś, jeden tylko, konkretny model realizacji. Była raczej pojemnym naczyniem, zdolnym wypełniać się nader różnorodnymi porządkami wartości, wielością pomystów ustanawiających periodyzację i ład dziejów już spełnionych oraz wielością sprzecznych nieraz oczekiwań skierowanym ku ku dziejom jeszcze nie spełnionym. Naczynie to nadawało jednak swoim różnym zawartościom wspólną im formę, której cechą najbardziej istotną i zarazem najbardziej ogólną było **zawierzenie historii**. Na czas dwóch stuleci zawierzenie to stało się najbardziej porywająca **świecka wiara i nadzieja** szeroko pojętej kultury europejskiej, wiara i nadzieja zdolna do współzawodnictwa z transcendentnymi obietnicami religii. W swojej funkcji psychologicznej wiara w postęp mogła stawać się substytutem religii dzięki temu, że przezwyciężała tragizm i krótkotrwałość i nieważkości jednostkowej egzystencji i nadawała tej egzystencji sens przez włączenie jej w jedno gromne pasmo trudów i walk minionych i przyszłych pokoleń ludzkich, zbliżających się sukcesywnie – czy to poprzez kumulację cywilizacyjnych osiągnięć, czy przez dialektyczne zaprzeczenia i kataklizmy dziejowe – do spełnienia wyróżnionego przez filozofów ideału. Mieć historię po swojej stronie, być tylko narzędziem jej przeznaczeń, naukowo przewidującym jej bieg, być człowiekiem przyszłości usuwającym zmurszałe przegrody tamujące wielki nurt postępu – ta postawa okazywała dowodnie swoją moc motywowania najbardziej idealistycznych działań i poświęceń rzeszy animatorów ruchów społecznych, i to często takich, którzy nie spodziewali się sami doczekać nagrody ani na ziemi, ani w niebie.

Idea postępu była dzieckiem rewolucji naukowej XVII wieku i rewolucji przemysłowej wieku XVIII. Skoro bowiem można było wyzwolić naukę spod władzy scholastycznych autorytetów i podporządkować ją wymogom racjonalności metody indukcyjnej, skoro można było wyzwolić wytwórczość spod władzy rutyny i reguł cechowych, a podporządkować ją wymogom racjonalności ekonomicznej, skoro te przewroty, raz dokonane, zapoczątkowały lawinowy przyrost wyników poznawczych i technologicznych, dający poczucie opanowywania przez umysł ludzki ślepych sił natury, to nie było widać rozsądnego powodu, dla którego podobne zwycięstwa Rozumu nie miałyby być możliwe w dziedzinie prawa, organizacji społecznej, stosunków międzypaństwowych, obyczajów i moralności. Wszystko, co w życiu społecznym ludzi cenne i wytesknione przez filozofów – prawda, piękno, cnota, rozwój talentów, sprawiedliwość, wolność, dobrobyt i pokój na ziemi – wszystkie te wartości zdawały się ze sobą tak zespolone, że przyrost jednych musiał z czasem pociągać za sobą przyrost innych. A jeśli tak, to dzieje ludzkości są procesem, który mimo wszystkich załamów i kryzysów odbywa się po linii wstępującej, są procesem

stopniowego doskonalenia się i racjonalizowania cywilizacji, a szczególnie epoki, formacje społeczno-ekonomiczne lub kultury – naniesione na jedną skalę porównawczą – są procesy tego niższymi lub wyższymi stadiami. W ten sposób główne założenia oświeceniowej idei postępu nadały formę nie tylko niezliczonym odmianom ideologii politycznych, ale także pozytywistycznemu ewolucjonizmowi w antropologii.

Założenia te, jak wiadomo, nigdy nie były podzielane powszechnie. Znane są dobre argumenty, jakie od czasów Rousseau wytaczane były przeciwko progresytywistycznej filozofii dziejów, zwłaszcza przeciwko jej liberalnej wersji. Argumenty te, z grubsza biorąc, podzielić można na dwie grupy: te, które podważały założenie o dodatnim sprzężeniu zwrotnym wartości oraz te, które podważały założenie o jednej drodze rozwoju ludzkości.

Pierwszy kierunek ataku trwa nieprzerwanie od dwóch z górą stuleci, zarzucając doktrynie postępu co najmniej naiwny i bezpodstawny optymizm, a przeważnie zgubne i katastrofalne skutki jej upowszechnienia. Nie podając na ogół w wątpliwość niezaprzeczalnych postępów wiedzy, technologii i sił wytwórczych, krytycy "postępowości" przecza temu, iżby osiągnięcia te miały w jakikolwiek sposób przyczynić się do poprawy innych, a dla nich znacznie ważniejszych wyznaczników kondycji ludzkiej. Krytyka optymistycznej historiozofii idzie w parze z oskarżeniem współczesnej cywilizacji naukowo-technicznej, która dla ideologów postępu była najwyższym osiągniętym szczyblem rozwoju. Jakoż cywilizacja ta dostarczała pod dostatkiem dowodów na rozszczepienie wartości, a tym samym uzasadnień dla przekonania, iż za przyrost jednych trzeba płacić ubytkiem, o ile nie zatrutą innych. Za wzrost jednostkowej wolności płaci się tedy utratą osobowych więzi i poczucia bezpieczeństwa zapewnionego przez przynależność do silnie zintegrowanych wspólnot sąsiedzkich, korporacyjnych i stanowych. Za zdobycze i uroszczenia rozumu płaciło się zachwianiem autorytetów i dogmatów religijnych, sankcjonujących normy moralne. Wzrost bogactwa narodowego okupiony jest wzrostem nierówności ekonomicznych i powszechnym zmaterializowaniem życia, degradacją wartości nieużytecznych. Za industrializację i urbanizację przychodzi płacić utratą więzi międzyludzkich i między człowiekiem a przyrodą, wykorzenieniem tradycji, skażeniem środowiska, ohydą i sztucznością wielkomiejskiego bytowania. Ceną za dopuszczenie mas do uczestnictwa w polityce i oświacie jest groźna demagogia masowej polityki i trywialność masowej kultury.

Te listy stereotypowych zarzutów konserwatywnej i radykalnej krytyki rzekomego "postępu" można długo ciągnąć i każdy z nich z osobna egzaminować. Ogólnie wszakże stwierdzić można, że ta wielokrotnie odnawiająca się krytyka – bez względu na trafność jej poszczególnych argumentów – dość skutecznie podważa filar idei postępu, a mianowicie przekonanie o rozszerzaniu się przynajmniej w dziejach nowożytnych – obszaru działania poddanego władzy reguł racjonalnych. Reguły te nie mają bowiem zastosowania tam, gdzie wchodzi w grę fundamentalny konflikt celów lub niezgodność jednocześnie odczuwanych potrzeb i pragnień. **Jeżeli ludzie jednocześnie pragną wolności i opieki, albo jednocześnie ryzyka zmiany i bezpieczeństwa rutyny, to wybór między takimi parami wzajem ograniczających się pragnień lub ustalenie punktu ich równowagi jest decyzją ideologiczną, nie zaś racjonalną.**

O tę skałę roztrzaskała się etyka utylitarystyczna i cała doktryna liberalizmu z jego idea samoczynnego postępu. Jeśli bowiem nasz świat wartości i pragnień jest nieuleczalnie rozdarty, to i wyobrażenie postępu jako sukcesywnej realizacji tych wartości w historii rozszczepić się musi na wielość zwalczających się wzajem ideologii, z których każda zawiera innej historii, innej przyszłości, innemu typowi ładu społecznego.

W ogniu krytyki liberalnego społeczeństwa kapitalistycznego jako rzekomego pola realizacji "postępu scalonego" zrodziły się dwa znamienne nurty filozofii dziejów.

Pierwszy z nich, który można by nazwać konserwatyzmem katastroficznym, sprowadza się do uznania, iż w ostatecznym rachunku cena płacona za zdobycze cywilizacji naukowo – technicznej jest dużo wyższa niż osiągane korzyści. Procesowi rozwoju nauk przyrodniczych, techniki, miast i demokracji towarzyszą nieodwracalne procesy rozkładowe: atomizacja społeczna, nienawiści klasowe i narodowe, zanik tradycji, autorytetów i twórczych kulturalnie elit, wzrost środków zniszczenia. Rzekomy postęp prowadzi więc do zagłady, do upadku Zachodu, i dopiero na gruzach cywilizacji europejskiej rozpocznie się, zapewne pod przewodnictwem innych narodów era cywilizacyjna, nowy cykl dziejów realizujący inne, na przykład chrześcijańskie zasady.

Oslabienie fundamentu wiary w postęp samoczynnie się realizujący mogło wszelako doprowadzić do innego wniosku. Jeśli społeczeństwo liberalne nie jest w stanie nadać swym wytworom historycznego sensu, to aby móc zawierzyć historii trzeba jej pomóc: pomóc rewolucyjną chirurgią i scentralizowana wola awangardy, która ukonstytuuje dopiero warunki dla stworzenia niesprzecznego ładu wartości, a więc warunki zharmonizowanego postępu wolności i równości, ekonomicznego kolektywizmu i indywidualnej samorealizacji, na bazie nowoczesnej nauki i techniki.

Tak więc wiare liberatów w samoczynny postęp liniowy, pojęty jako ciągły i równomierny przyrost dóbr materialnych i moralnych – prorocy zagłady i teoretycy rewolucji zastępowali taką czy inną koncepcją cykli, spirali i nieuchronnych katastrof dziejowych. Koncepcje te pozostawały jednak w obrębie podstawowego paradygmatu filozofii historii, według którego dzieje ludzkości są, muszą być w ostatecznym rachunku, procesem realizacji wartości absolutnych.

Rozwiązaniem dalej idącym było odrzucenie tego aksjomatu, a tym samym odrzucenie (nie zmiana) wszelkich porządkujących systemów filozofii dziejów. Wszedł na tę drogę Jakub Burckhardt, najgłębszy chyba z zeszłowiecznych krytyków idei postępu. Wedle niego każda koncepcja dziejowego postępu ustanawia całkowicie arbitralną miarę dokonań, jest bowiem zawsze projekcja – w przeszłość – aktualnego ideału filozofa, historyka albo partii politycznej. Tymczasem dzieje kultur, oglądane nieuprzedzonym okiem, nie dają w ogóle podstaw wiary w to, że są "procesem", który ku czemuś zmierza lub który zwłaszcza zbliżać ma kolejne pokolenia ludzkie do stanu urzeczywistnienia czyichkolwiek marzeń, czyjegokolwiek systemu wartości, a to tym bardziej, że te ideały są nietrwałe i wzajem sprzeczne.

Burckhardt przywoływał poważniejszą jeszcze rację swego sprzeciwu: niezgodę na moralną buchalterię, jaką zakłada każda postępową historiozofia. Wystarczy wszakże powiedzieć, że postęp wymaga wymaga kosztów i ofiar, i już usprawiedliwiona może być każda zbrodnia polityczna, kolonialny podbój, wytrzebiecie "niższego kulturalnie" plemienia czy cierpienie "skazanej na zagładę klasy". Tak

oto doktryna postępu przeobraża się w rodzaj świeckiej teodycei, zdolnej sofistycznie skwitować wszelkie zło płynące z niego dobrem, a to w ramach wielkiego planu finalnego zbawienia. Rychło miało się okazać, że te profesorskie obawy były aż nadto usprawiedliwione.

Doświadczenia naszego stulecia zdają się z nawiązką potwierdzać najgorsze obawy katastrofistów i sceptyków. Nie najazd barbarzyńców na Europę, ani zastygłe cywilizacje Wschodu lecz sama przodująca Europa pogrążyła świat w odmetach dwóch najkrwawszych w jego dziejach wojnach. W przypadku drugiej wojny nie można pominąć czynnego sprawstwa Japonii, to trzeba zarazem pamiętać, że był to już wówczas najbardziej zeuropeizowany i najbardziej rozwinięty ze wszystkich krajów nie należących do kręgu kultury europejskiej. Z zatrutych ziaren europejskiej filozofii i myśli politycznej wykietkowały najbardziej bezwzględne i najokrutniejsze tyranie, by żniwo swoje zbierać aż po dżungle Kampuczy(....).

Współczesny socjolog amerykański, Robert Nisbet, najbardziej dziś konsekwentny tropiciel śladów Wielkiej Metafory "organicznego rozwoju społecznego" uważa, że destrukcja ewolucjonizmu nie jest jeszcze dość radykalna, albowiem w szkole funkcjonalistycznej i strukturalistycznej przetrwało wciąż wiele z bezwiednie przyjmowanych założeń ewolucjonistycznych. Nisbet pisze:

"Mniemanie, że bezkresna, wielokształtna i nieskończona różnicowana historia ludzkości może być w jakikolwiek sposób wtłoczona w sztywne ramy rozwoju cyklicznego albo liniowego, że postęp, lub – przeciwnie – degeneracja mogą być uznane za procesy endemiczne, za utrwalone składniki rzeczywistości, wymaga prawdy jakiegoś gigantycznego aktu wiary. Co więcej, wymaga nie mniej gigantycznych operacji przykradania różnorodności do jedności redukcji niewiarygodnej złożoności do prostoty, oraz transponowania orzeczeń moralnych w orzeczenia egzystencjonalne".

Ale – dodaje Nisbet – jest rzeczą niezmiernie wątpliwa, czy większość z nas potrafi żyć bez takiej wiary.

Można na to odpowiedzieć, że stramy się, jak możemy, i to już od dłuższego czasu. Wyrzekliśmy się zadufanego w siebie eurocentryzmu i nawet dobrodusznym Amerykanom nie są już dziś tak jak dawniej pewni swojej mniemanej przewagi. Przestaliśmy wierzyć w to, że wzrost zdolności poznawczych i technicznych może w jakiegokolwiek mierze przyczynić się do racjonalizacji zasad współżycia ludzkiego na ziemi. Idee postępu uznaliśmy w końcu za **mit racjonalistycznej metafizyki**, a w wersji mocniejszej – **za najbardziej niebezpieczne złudzenie** utopijnej polityki, prowadzącej prosto do tototalitarnej ideokracji. Utraciliśmy krzepiące niegdyś (...) przekonanie, że świadomość moralna duchowych i umysłowych elit może nachylić bieg dziejów ku realizacji wyznawanych wartości i ideałów. Bez tej naiwności czujemy się bezradni, lecz nie popadamy w fatalizm; przestaliśmy bowiem także wierzyć w to, że dzieje mają w ogóle jakikolwiek sens, jakikolwiek nieuchronność i jakikolwiek kierunek przemian; zdają się być raczej chaosem zdarzeń i oddziaływań, zgiełkiem i furją niż kumulatywnym procesem. Cienimy sobie niektóre wartości kultury europejskiej, nade wszystko zapewniony nam dobrobyt i względny komfort warunków życia, ale nie przejmujemy się zbytnio ich zagrożeniem, a tym bardziej ponurymi prorocztwami upadku: nie ma bowiem upadku tam, gdzie nie ma skali porównawczej, gdzie nie ma wyższości i niższości kultur lub cywilizacji. Dlatego nie jesteśmy nawet dekadentami, ceniąc

sobie raczej codzienny pragmatyzm, skromne i nie upajające ideologie przystosowania i małych korektur (...)

2

Pierwsza wątpliwość dotyczy implikacji wspomnianej tu już krytyki ewolucjonizmu, w szczególności zaś sformułowanego przez nią zakazu oceniania i szeregowania kultur. Zakaz ten daje się, być może, respektować w antropologicznym opisie lub ściśle naukowej teorii kultury, choć i w to wolno wątpić; nie sposób go natomiast przenieść na grunt dyskusji Światopoglądowej, w której twierdzenia opisowe są nierozdzielnie związane z sądami wartościującymi, subiektywnymi z natury rzeczy. Zakaz wartościującego szeregowania kultur jest wszak równoznaczny z zakazem wartościowania w ogóle, a więc z zakazem wyznawania wartości. Leszek Kołakowski w eseju "Szukanie barbarzyńcy" pisze:

"Ktokolwiek powiada w Europie, że wszystkie kultury świata są równe, normalnie nie miałby ochoty, żeby mu odcinano rękę za kradzież (kiedy na przykład oszukuje przy podatkach) albo by mu zaaplikowano publiczne biczowanie - gdy dopuszcza się zdrady małżeńskiej. Powiedzieć w takim przypadku "takie jest prawo koraniczne, trzeba respektować inną tradycję" to powiedzieć w gruncie rzeczy "u nas to było okropne, ale dla tych dzikusów to w sam raz". Tak więc wyrażamy nie tylko respekt, ile pogardę dla innych tradycji, a zdanie "wszystkie kultury są równe" najmniej się nadaje do tego, by tę postawę opisać".

Nie chodzi w tym przypadku o ocenę rzeczywistego stanu obyczajów i praktyk społecznych. Za świeżej naszej pamięci w Europie zdarzały się - i zdarzają - rzeczy straszniejsze, niż kamieniowanie za cudzołóstwo (...). Chodzi natomiast o stosunek do wyznawanej aksjologii i do zasad z nią sprzecznych. **Nie można mianowicie uznawać czegoś, a nie uznawać za kryterium oceny. Jeżeli uznajemy, że poszanowanie cudzego życia jest wartością, to z reguły i prawa z nią sprzeczne musimy uznać albo za naganne, albo za usprawiedliwione tylko niższością kultury.**

Ponadto, kto powiada, że nie mamy żadnych kryteriów oceny, ten twierdzić musi to samo w odniesieniu do kultur zmieniających się na osi czasu. Wówczas wypada mu konsekwentnie uznać, że metodologiczne reguły nauki empirycznej są tyleż samo warte, co reguły scholastyki lub magii, współczesny proces sądowy tyle samo co proces o czary, a wolność sumienia tyle samo, co palenie heretyków na stosie.

Stanowisko takie wyrażałoby nie tyle respekt dla kultury średniowiecza i kontrreformacji, co zaprzeczenie, iżby trud pokoleń, jakie pracowały na dorobek cywilizacji, miał jakiegokolwiek znaczenie wartościotwórcze. A skoro tak, to nie ma rozsądnych powodów, abyśmy mieli bronić naszych standardów. Tak to skrajny relatywizm, wychodząc ze szczytnej zasady postanawiania różnorodności i równoprawności wzorców kultury, prowadzi do aksjologicznej obojętności, jeśli nie do nihilizmu.

Cywilizacja Europejska w toku swych dziejów wytworzyła dość bogaty zespół wartości i przykazań, wywodzących się zresztą z różnych tradycji, wartości, o których, jeśli je **szczerze** uznajemy,

mamy prawo bez żadnej arogancji sądzić, iż na zasadzie podobnej do kantowskiego imperatywu kategorycznego są one godne, by służyć za **normy uniwersalne**, a tym samym **za miarę postępu**. Wyłaniają się tu jednak dwie wspomniane już na wstępie trudności.

Pierwsza z nich polega na tym, że ta sama cywilizacja, która norm tych się dopracowała, wytwarzała też i stale wytwarza ich zaprzeczenie. Jest tedy oczywiste, że normy te muszą być w pierwszym rzędzie stosowane do stanów rzeczy w obrębie kultury je generującej: przy zaniedbaniu tego warunku popadamy natychmiast w pełne hipokryzji misjonarstwo.

Komplikacja druga wynika stąd, że – jak się rzekło – ten zbiór wartości nie jest i nie może być spójny. Odzwierciedlając konfliktowe potrzeby i tesknoty natury ludzkiej i społeczeństwa, zbiór ten zawiera w sobie postulaty wzajemnie antagonistyczne, w tym przynajmniej ograniczonym sensie, że maksymalizacja jednej wartości pociąga za sobą uszczerbek innej. W tym sensie przykazania "nie zabijaj" i "miłuj bliźniego swego" są niezgodne z nakazem ojczyzny (czy obrony wolności); postulat egalitaryzacji statusów społecznych jest niezgodny z postulatem wolności indywidualnej, a aprobata zmienności – wartością zakorzenienia w tradycji. Takich rozszczepień dóbr w obrębie jednego kodeksu łącznie na ogół wyznawanych wartości można przytoczyć wiele, od części etycznej poczynając, a na ekonomicznej kończąc. Zarazem przecież te dobra i te potrzeby sprzeczne – wtedy, gdy którekolwiek z nich podniesione zostaje do rangi absolutu – nie są sprzeczne w silniejszym sensie słowa, to znaczy nie wykluczają się wzajemnie wtedy, gdy godzimy się na ich zaspokojenie czy poszanowanie umiarkowane, na poziomie wyznaczonym przez trudno uchwytnie reguły aksjologicznego kompromisu. Okazuje się wówczas – co więcej – że może zachodzić w społecznej praktyce dodatnia między nimi korelacja.

Oczywiście, nie jest tak, iżby kodeks dóbr współczesnej cywilizacji europejskiej był pakietem nierozdzielnych. Można brać z niego jedne idee i dobra obywateli się bez innych. Znamy w dziejach stronnictwa czy ideologie pochłonięte wyłącznie zapewnieniem wysokiej stopy wzrostu gospodarczego za jaką bądź cenę, i znamy inne, ogarnięte obsesją sprawiedliwego podziału albo troszczące się li tylko o ochronę środowiska. Znamy państwa, które osiągały światowy poziom w nauce i technice mając w pogardzie wszelkie prawa ludzkie i zasady demokracji. Znamy z drugiej strony i takie, które przejęte od Zachodu prawa i instytucje liberalno – demokratyczne starają się kultywować przy żafosnym poziomie oświaty publicznej, przy archaicznej gospodarce i masowej nędzy.

Podobnymi obserwacjami podpira się zazwyczaj stara już doktryna "ceny postępu". W myśl tej doktryny, skoro godziwe cele są wzajemnie konfliktowe i nie można mieć wszystkiego naraz, to trzeba zawiesić jedne prawa i wartości, aby móc realizować inne, uznane za naczelne lub za warunkujące wszystko. Zgodnie z tą regułą należy na przykład odpiarać rewindykacje klas pracujących w imię zasady czy to wolności przemysłowej, czy rozwoju gospodarczego. W tym samym celu – powiada się – odłożyć na później troskę o ochronę środowiska naturalnego, lub odwrotnie – w imię tej ochrony powstrzymać wzrost. Należy zawiesić prawa obywatelskie, aby dokonać rewolucyjnego aktu sprawiedliwości społecznej. Albo trzeba zrezygnować z wypracowanych przez cywilizację zasad procedury sądowej, aby zapewnić większą dyscyplinę społeczną... Zawieszenie tych czy innych dóbr, wartości czy uprawnień ogłasza się najczęściej tylko na pewien czas przejściowy,

zawsze jednak grozi niebezpieczeństwo, że dobro raz upodrzednione pozostanie takim trwale w etosie danej formacji.

Otóż nie jest pewne, że postęp w jakiegokolwiek dziedzinie wymaga ceny aż tak wygórowanej.

Nie jest pewne, że postęp w jakiegokolwiek dziedzinie dokonuje się kosztem jakiejś innej dziedziny, że cele afirmowane w naszej cywilizacji osiągnąć można tylko wzamian za poświęcenie innych celów i wartości. Jest możliwe i nawet prawdopodobne, że łatwiej i mniejszym kosztem można mieć wszystkie te dobra chronione i rozwijane razem, niż którejkolwiek z nich oddzielnie!

Pomimo wszystkich przykładów przeciwnych można, jak sędzę, zaryzykować hipotezę, że w dłuższej skali historycznego czasu ujawnia się jednak dodatnia zależność i wzajemne wspomaganie między takimi składnikami cywilizacji współczesnej, jak: stan nauki i techniki, stopień uprzemysłowienia, wydajność pracy i wydajność gleby, poziom życia mas pracujących, ubezpieczenia i opieka społeczna, oświata, ochrona zdrowia, przeciętne trwanie życia ludzkiego, zakres demokratycznych praw obywatelskich, stopień zabezpieczenia podmiotowych praw człowieka, humanitaryzm prawa karnego i penitencjarnego, kultura współżycia i złagodzenie antagonizmów społecznych. Jak się zdaje wraz ze schyłkiem – by użyć terminu Lewisa Mumforda – ery paleotechnicznej i przechodzeniem do tak zwanych czystych technologii, do tej baterii dołącza także ochrona środowiska naturalnego, która już dziś przedstawia się najgorzej w krajach średnio uprzemysłowionych.

Hipoteza o dodatnim – w dłuższym okresie czasu – sprzężeniu wszystkich wymienionych składników cywilizacji wymaga oczywiście sprawdzenia w badaniach historyczno-porównawczych. Niewątpliwie działa wiele czynników zakłócających te zależności. Rzucają się w oczy groźne zjawiska patologii społecznej i niektóre formy przestępczości, z terroryzmem włącznie – które nie zdradzają oznak recesji, a nawet wykazują wzrost pod wpływem zmian cywilizacyjnych.

Jeśli jednak, przy wszystkich zagrożeniach, hipoteza dodatniego sprzężenia i wzajemnego wspomagania się różnorodnych wartości naszej cywilizacji może się obronić – a sędzę, że może – to pojęcie postępu jako zmiany kumulatywnej, ukierunkowanej i pozytywnie nacechowanej z punktu widzenia naszej aksjologii – nie jest puste, a prakseologia postępu nie polega wówczas na poświęcaniu jednych wartości na rzecz innych, lecz na kompromisowym harmonizowaniu wszystkich.

Konkwencja takiego stanowiska jest także zachowanie prawa do operowania skalą porównawczą w czasie i przestrzeni. Nie mam tu na myśli skali w ścisłym słowa znaczeniu pomiarowej, ponieważ wyliczone wskaźniki cywilizacyjne nie mają wspólnej miary i nie dają się arytmetycznie zagregować.

Niemniej gdy słysze, że nie ma żadnego syntetycznego wskaźnika, który pozwalałby porównywać ze sobą – w synchronii – poziomy cywilizacyjne, to odpowiedziałbym, że wskaźnik taki, choć niedoskonały, jednak istnieje: jest nim mianowicie kierunek dążeń migracyjnych.

To ludzie bowiem, pragnąc poprawić swój los, syntezują sobie bez arytmetyki, oczekiwania i lęki, szanse i ryzyko, wolność, zarobki i prawa. Gdyby wszystkie kraje zezwalały na swobodną emigrację i migrację, to z mapy migracji, łatwiej niż z rocznika statystycznego, dałoby się odczytać

miejsca w postępie cywilizacyjnym, a przy okazji utwierdzić w mniemaniu, iż istnieją jednak dobra i cele ich aktualne atrakcyjne dla ludzi ze wszystkich społeczności i kultur.

3

Te rozważania o prawomocności idei postępu – którą niedawno zajmowałem się tylko jako historyk – snuje dziś z perspektywy naszego czasu i naszego miejsca. Z perspektyw kraju, który od blisko dziesięciu już lat ześlizguje się cywilizacyjnie, boleśnie doświadcza swej degradacji. Nie możemy się przy tym pocieszać – jak w pierwszych latach powojennych – tym, że nasze biedy są wynikiem odziedziczonego zacofania i zniszczeń, ani tym, że nasze wyrzeczenia są ceną postępu: wiemy bowiem czym płacimy, nie wiemy za co.

Oto kilka przykładów (...): mamy obecnie najwyższy w Europie przyrost naturalny przy najniższych przyrostach żywności i malejącej liczbie oddawanych do użytku mieszkań. Wskaźnik przeciętnej ilości osób na jedną izbę mamy jeden z najwyższych w Europie, a wskaźnik liczby łóżek szpitalnych na 10 tysięcy mieszkańców jeden z najniższych i od 10 lat niezmienny...

Mamy w Europie 22 lokate, jeśli chodzi o liczbę aparatów telefonicznych, 21 – gdy chodzi o ilość użytkowych samochodów; mamy drugie miejsce w statystyce śmiertelnych ofiar wypadków drogowych (!)... Mamy pierwsze miejsce w Europie w produkcji węgla, surówki siarki, żyta i ziemniaków na jednego mieszkańca – jesteśmy natomiast na końcu tabeli gdy chodzi o produkcję na jednego mieszkańca energii elektrycznej, tworzyw sztucznych, papieru i mięsa...
(...)

4

Spróbujmy zebrać konkluzje tego wywodu, który jest zaledwie szkicem rozumowania.

Postęp jest wielkim mitem, jeśli go pojmujemy jako prawo dziejowe, jako nieuchronność historyczna dla wszystkich czasów i wszystkich kultur.

Postęp jest utopią, jeśli go pojmujemy jako niezawodną drogę do millenium, do jakiegoś finalnego stanu ludzkości zrzeszonej, wolnej od biedy, leków, opresji i walki, i wszystkich dramatów doli człowieczej.

Postęp nie jest mitem ani utopią jeśli go pojmujemy jako wybór wartości i jako zadanie dla twórczej myśli i działalności ludzkiej, operującej w tej przestrzeni możliwości realnych, jak się rozpościera między złudnym demiurgicznym poczuciem wszechmocy a rozpaczliwym poczuciem bezradności wobec ślepych sił historii. Taki postęp jest możliwością empiryczną, nie koniecznością. Przyszłość jest zawsze nieznana i nie ma za sobą żadnej gwarancji.(...)

(Odczyt wygłoszony na Walnym Zgromadzeniu Polskiego Towarzystwa Socjologicznego w Warszawie, z późniejszymi poprawkami i zmianami. Redakcja dokonała w tekście pewnych skrótów bez uzgodnienia z Autorem, bez którego wiedzy i zgody drukujemy niniejszy tekst).

Jak zginął mjr MACIEJ KALENKIEWICZ ps. KOTWICZ

Już prawie miesiąc kadra oddziałów wileńskich i nowogrodzkich AK trwała w puszczy na tyłach wojsk sowieckich. Obroza zaciskała się powoli.

U progu tego okresu mjr Jarema miał około 300 żołnierzy pod broń, pptk Kotwicz poniżej dwustu. Liczby te topniały ciągle – nie wskutek dezercji, ale zwykłych ludzkich i rodzinnych powikłań. Dowódcy nie robili trudności przy zwalnianiu, bo zmniejszone stany ułatwiały aprowizację i zaopatrzenie. A w razie potrzeby można było przecież skrzyknąć pospolite ruszenie.

Akcji zaczepnych nie prowadzono. Zdarzały się starcia, ale raczej przypadkowe niż zaplanowane. Kotwicz powtarzał:

– Nie zaczepiajcie Sowietów, zwłaszcza większych oddziałów. Nie chce sam zginąć i nie chce, żeby zginął którykolwiek z was. Chce, żebyście wrócili do swoich i jeszcze mieli po szczęściu dzieci.

Wskazaniu "Nie zaczepiać" towarzyszyła druga instrukcja: "Ale bronić się w razie zaczepki". Na takiej wąskiej drodze manewrowanie jest trudne. Przedziej lub później (ale zważywszy rozmach, z jakim władze sowieckie wzięły się do tepienia AK – raczej przedziej) musiała nastąpić konfrontacja. Dowódcy Smierszu odpowiadali swym stanowiskiem – a zapewne i głową – za zlikwidowanie "obcych wojsk" na zapleczu frontu.

AK-owcy z obu okręgów znaleźli się w Puszczy Ruskiej w okolicach Dubicz. Mieli tam zaplecze wielkich lasów bersztańskich i matecznika Horiaczy Bór, a jednocześnie dobry wgląd w ruch na szosie Wilno-Grodno.

Kotwicz od czasu narady w Stajnach nie robił dłuższych wypadów – lub powiedzmy ostrożniej: nie mam wiadomości, by między 10 a 21 sierpnia oddalał się od swoich melin w Skirejkach i Surkontach, znajdujących się 18–20 km. na wschód od Dubicz. Oczywiście partyzantka wymaga stałego ruchu, ciągłych zmian miejsca postoju, ale nie dam się wystrychnąć na durnia i nie będę pouczał zastępcy Hubala, jak powinien zachowywać się w polu. Proponuje raczej przyjać, że z niewiadomych względów (może choroba, gorączka i osłabienie?) Kotwicz taktyki tej zaniechał, przyczaił się i czekał. Zresztą obie wioski – ściślej mówiąc: zaścianki, albo jak mówią miejscowi "oklice" – doskonale nadawały się na schronienie: były zamieszkałe przez Polaków, luźno zabudowane i przylegały do lasów.

Wraz z litewską wsią Pielasa (Kotwicz omijał ją z daleka i poruszał się tylko noca) osiedla te tkwią w wielkim worku, którego zachodnia granicę stanowią bagna Kamienny Most, wschodnia – niemal równie błotnista dolina Dzitw, a u wierzchołka znajduje się miasteczko Raduń.

Niecka Kamiennego Mostu ma około 10 km. długości i stanowi skuteczną barierę komunikacyjną. Przecina ją jedna tylko droga – Na Wiewiórke. Dobre to przy obronie, ale czasem może sprawić kłopot. Żeby zapewnić inne drogi odwrotu, VII baon 77 pp zbudował tam 4 konspiracyjne przejścia. Z kamiennego Mostu bierze początek rzeczka Przewoża wpadająca do dużego jeziora Pielasa, nad którym góruje kościół w Dubiczach. Ta sama rzeczka po wykapaniu się w jeziorze przybiera nazwę Kotry, przecina

Żeby zapewnić inne drogi odwrotu, VII baon 77 pp zbudował tam 4 konspiracyjne przejścia. Z kamiennego Mostu bierze początek rzeczka Przewoża wpadająca do dużego jeziora Pielasa, nad którym góruje kościół w Dubiczach. Ta sama rzeczka po wykapaniu się w jeziorze przybiera nazwę Kotry, przecina całą Puszcze Ruską i ginie w Niemnie. Nad jej górnym biegiem rozciąga się "Święte Błoto", na którym w 1863 roku walczył i zginął Ludwik Narbutt.

Od wschodniej strony wór zamykają rozlewiska Dzitwy, rzeki leniwej i krotej. Dróg tu niewiele, tylko ścieżki, kładki przez strumyki i wąskie przejścia przez moczary, które zablokować potrafi jeden rkm. Więcej tu pól i łąk, więcej też zaścianków szlacheckich, małych, pracowitych i patriotycznych: Dowgieliszki, Raczkiewicz, Butrymy, Kierbedzie, Hancewicz, Wilbiki, Giestowty, Janowicz, Bienkowicz, itd. W jednej z tych wiosek – Zaleskie ukrywała się radiostacja okręgu Nowogrodzkiego Wanda 20, obsługująca również Wilno.

Nim placówka ta została spelengowana przez Sowiety, przekazała kilkadziesiąt depesz i była najlepszym łącznikiem kresów ze światem. Jedna z depesz Kotwicza dotyczyła obozu .AK-owców w Miednikach, inna zawierała ocenę ogólnej sytuacji.

Nr.9/vv nadana 21.8.44

W 19 to 17, 09 de 20

Nów do KG Nr.9

odczytana 10.1.45

dnia 25.8 Kotwicz

Podtrzymuje tezę, że bolszewicy pod pretekstem poboru chcieli usunąć wroga im ludność kresową. Po nieudaniu tej próby zastosowali taktykę stokroć groźniejszą. Stałe aresztowania po całym terenie po kilkanaście osób i częste wypadki rozstrzelania. Kazałem wzmocnić opór, utrudniać aresztowania. Niszczyć rozpoznanych agentów sow. i szpiegów. Melduje raz jeszcze, że jesteśmy zdolni do masowego, krótkotrwałego porywu, śmiercią jednak jest dla nas dłuższe pozostawanie pod okupacją bolszewicką, w izolacji od świata. Wobec sowieckich metod stopniowego wyniszczania konieczna, pilna interwencja Międzynar. Czy niemożliwe otworzyć w Wilnie, Lidzie itp. ameryk. baz lotniczych i choć częściowo je wyzyskać dla omówionych celów.

Nie, nie było to możliwe. Nawet walcząca z Niemcami Warszawa nie mogła się doprosić masowych zrzutów broni i amunicji. Perswazje Waszyngtonu i Londynu nie zdołały skłonić Moskwy do zezwolenia na wahadłowe loty z lotnisk alianckich na zaplecze sowieckie, co umożliwiłoby zwielokrotnienie pomocy dla Warszawy. A już Komisja Międzynarodowa ... czysta fantazja! Kotwicz trzeźwo oceniał tragiczne położenie kresów, ale nie orientował się w światowych powikłaniach politycznych: od jego wyjazdu z Warszawy upłynęło 6 miesięcy.

Sam zresztą zdawał sobie sprawę z luki informacyjnej i natarczywie domagał się pogłębionej obsługi.

Nr.11/vv nadana 22.8.44

W 10 to 17, 09 de 20

Nów do KG Nr 11

odczytana 9.1.45

dnia 25.8 Kotwicz

Jestem skazany wyłącznie na oficjalne komunikaty radia Londyn. Proszę o najkrótsze, lecz stałe naświetlanie syt. polit. i wojsk. Jestem w stałej łączności z Jagoda.

Po wyzdrowieniu Kotwicz zaplanował dwie odprawy. Pierwsza - w niedzielę 20 sierpnia - przeznaczał na analize operacji "Ostra Brama"; nazajutrz miała się odbyć odprawa poświęcona zagadnieniom intendenckim - zimowego zaopatrzenia i leż. Obie w Skirejkach.

Ale nieprzyjaciół też miał plany i dobry wywiad. Najwidoczniej przedłużający się pobyt oddziałów AK na "Świątym Błocie" zwrócił uwagę agentów.

W sobotę 19 sierpnia oddział Jaremy został zaatakowany w kolonii Borowe (3 km od Dubicz). Tkwiły tam skromne resztki dawnego zgrupowania, bo por. Tońko - Brona udał się dwoma plutonami "Solczy" do puszczy Rudnickiej, żeby ściągnąć stamtąd błąkających się AK-owców. Pozostałym wojskiem Jaremy - trzy plutony, około 100 żołnierzy - dowodził jego zastępca, kpt. Jeż (Edmund Banasikowski). Jemu zawdzięczam te relacje:

"Sowieciarze zaatakowali nas o brzasku. Gęsta mgła utrudniała widoczność. Zaskoczenie było zupełne. Ani ludność, ani nasze patrole nie sygnalizowały obecności wojsk sowieckich w puszczy; prawdopodobnie zostały one przetransportowane w nasz rejon w ciągu nocy.

Walka była krótka. Z miejsca zorientowałem się, że uratować nas może tylko wyjście z pierścienia. Uderzyliśmy na tyraliere idącą z północnego kierunku. Nasz silny ogień i błyskawiczne uderzenie spowodowały popłoch wśród bolszewików. Przebiliśmy się.

Jedną drużynę rzuciłem na osłone młra Jaremy, który po uciążliwych marszach w puszczy leżał poobcierany (stopy i pachwiny) opodał w chutorze. Jarema wydostał się z matni, ale potem, jadąc w przebraniu chłopskim furmanką do Wilna, został aresztowany.

Kierując się instynktem, starałem się wejść jak najgłębiej w las. Nie miałem ani kompasu, ani mapy. Mapnik straciłem, gdy dostałem serie z pepeszy na podwórku chałupy, w której nocowałem. W odległości kilku kilometrów od Borowego natrafiliśmy na niedozorowane tabory sowieckie, co wskazywało że była to jedna z ich podstaw wyjściowych. Patrole sowieckie wkrótce zgubiły nasz ślad i strzelały na ślepo.

Po 2-3 godzinach znaleźliśmy się nad rzeką Nacza. Policzyliśmy się: miałem dwóch rannych (lekko) i kilku zaginionych. Nie wiem co się z nimi stało: polegli, dostali się do niewoli czy zawieruszyli

w lesie.

Po całodziennym marszu przez chaszcze i błota przenocowaliśmy w małej wiosce przy drodze Koleszniki-Ejszyszki. Tam postanowiłem na własną rękę rozwiązać oddział, bo zdawałem sobie sprawę z beznadziejności naszej sytuacji i wiedziałem, że wojsko sowieckie przeczesuje lasy."

Tego samego ranka zaatakowany został oddział nowogrodzki, liczący około 80 żołnierzy. Oddział ten, pod dowództwem kpt. Bustromiaka, znajdował się w lesie w okolicy Poddubicz, a więc o kilka kilometrów od Jaremy, ale oba nie znały położenia i umiejscowienia sasiada. Wydaje się to nieprawdopodobne, wydaje się, że komendant okręgu powinien być poinformowany o obecności i ruchach wileńskiego oddziału na swoim terenie – ale w tych czasach nic nie było proste i oczywiste. "Nie mieliśmy przecież – pisze mi mjr Jeż w 1981 roku – ani nadajników radiowych, ani telefonów. Łączność była piesza lub konna. Rozkazy przychodziły z Wilna, punktem kontaktowym była plebania w Dubiczach. Proszę również mieć na uwadze, że od aresztowania Wilka do bitwy pod Borowem upłynął zaledwie miesiąc."

A minęły dwa tygodnie lub niewiele dłużej od czasu objęcia komendy nowogrodzkiej przez Kotwicza. Po Boguszach i Miednikach z siatki organizacyjnej zostały strzepy, zabrakło kluczowych osób i ogniów, kontakty trzeba było odbudować, chdów na nowo uczyć, a każde działanie opóźniała konspiracyjna ostrożność i obawa przed zdradą.

Tak więc 19 sierpnia 1944 roku dwa oddziały AK stoczyły dwie oddzielne walki z obławą sowiecką.

Natarcie na oddział kpt. Bustromiaka nastąpiło też o świcie. W walce uczestniczyli m.in. kpt. Hatrak (=Franciszek Cieplik) i rtm. Ostroga (=Jan Kanty Strochowski), przy czym ten ostatni odznaczył się "wybitną odwagą" (cytat z rozkazu). Dzięki lepszej znajomości terenu Bustromiak zdołał się wycofać i oderwać od nieprzyjaciela. Straty: 6 poległych, 4 rannych uieśli ze sobą koledzy. Oddział wycofał się na wschód, w kierunku kwatery Kotwicza.

Tymczasem w Surkontach panował spokój. Kiedy w piątek (18 sierpnia) Czarna Magda wróciła tam po kilkudniowej nieobecności, zastała wszystkich w świetnym humorze:

"Weszłam do słonecznego pokoju. Irena pisała. Major chodził na ukos przez pokój i przywitał mnie wesoło:

- Pani Magdo, już jestem zdrow! Reka zupełnie się zagoiła.

Henryk był na zasadzce, wrócił nazajutrz rano.

W sobotę wieczorem udaliśmy się we troje na odprawę do Skirejek. Szliśmy nocą przez ciemny las. Major powiedział:

- Henryk, podaj matce rękę, bo obije bosc nogi o karcze.

Nad ranem przybył do Skirejek kpt. Bustromiak z całym oddziałem i opowiedział, co się działo w Poddubiczach.

Całą niedzielę trwała odprawa.

Tymczasem zaczęły nadchodzić złe wiadomości. Jakaś kobieta z dzieckiem na ręku ostrzegła, że

w Pielasie były sowieckie samochody.

Major odprawy nie przerwał".

O zmroku cała grupa odprawowa ruszyła z leśniczówki w Skirejkach w kierunku Surkont. Po drodze zatrzymano się na kolonii, gdzie już biwakował oddział ostonowy, około 60 żołnierzy. Tu odbył się dalszy ciąg odprawy.

Orwid czytał głośno opracowanie Kotwicza pt. "Wyprawa wileńska i kryzys rudnicki". Spalono piek łączywa, zakopcono chacie. W podsumowaniu Kotwicz doszedł do wniosku, że gdyby łączność AK działała sprawniej i gdyby dowódcy wszystkich oddziałów zachowali się karnie i na czas przybyli pod Wilno, operacja "Ostra Brama" mogła się udać.

Kotwicz nie mógł przeboleć, że po zdradzie sowieckiej niektóre oddziały załamały się i dały się rozbroić bez strzału, że 13 brygadę z Mołodeczna wziął do niewoli 20-osobowy patrol sowiecki, że przed wywiezieniem w głąb Rosji nie udało się odbić jeńców z obozu w Miednikach.

Noc miała się ku końcowi, kiedy odprawa przeniosła się do Surkont. Ostona też tam przeszła. Zrobiono to ostrożnie i za ciemna, żeby nie zwracać uwagi ludności.

Kotwicz polecił złożyć rannych w zajmowanej przez niego chacie, rozstawił ubezpieczenia. Kotwicz oczekiwał, że rano przybędzie kpt. Warta z oficerami intendencji dla omówienia zimowego zaopatrzenia oddziałów, a tymczasem dyktował coś Orwidowi w ogródku. Mundury ich wisały na płocie.

* * * *

Był poniedziałek 4 maja 1863 roku. Piękny, pogodny dzień wiosenny. Ale Narbutt czuł się źle. Był przemęczony i przygnębiony. Złych myśli nie rozproszyła ani nominacja na Naczelnego Wodza Wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego, ani otrzymany przed trzema dniami awans na pułkownika.

W partii miał kilkuset ludzi, ścigało go 3000 żołnierzy gen. Welijaminowa. Po raz drugi próbowali Narbutta osaczyć, ale powstańcy wymykali się obławom. Wreszcie ukryli się w moczarach między Dubiczami a Romanowem.

Kryjówkę wydał szlachcic skatowany przez Moskali, Adam Karpowicz. Poprowadził żołnierzy przebranych za wieśniaków. Narbutt nie podejrzewał niczego, bo spodziewał się chłopów z dostawą chleba.

Karpowicz, jak Judasz wskazał palcem i "oto Narbutt" zawołał. Odstąpiły się świtki chłopskie, ukazały się karabiny. Już w pierwszej salwie Narbutt został ranny w nogę, nie przestał jednak dowodzić. Powstańcy bagnietami otworzyli pierścień moskiewski, ale inna kompania Rosjan odcięła im odwrót i zepchnęła w bagna.

Na rozkaz Narbutta partia rozsypała się, każdy na własną rękę szukał ratunku. Narbutt cofał się ostatni. Trafiony w pierś i szyję osunął się na ziemię.

- Zostawcie mnie, już umieram - nakazał.

Klimontowicz i Jakubowski ukleknęli, chcąc opatrzyć. Usłyszeli ostatnie jego słowa: "Dulce est pro patria mori" (słodko jest umrzeć za ojczyznę).

Następnego dnia włościanie pozbiali ciała 13 poległych, w kościele dubickim odprawiono modły, a potem pogrzebano wszystkich we wspólnej mogile.

* * * *

Był poniedziałek 21 sierpnia 1944 roku. Piękny, pogodny dzień letni. Znam jego przebieg od kilku osób, z których dwie uczestniczyły w bitwie. W pierwszej bitwie, jaka rozegrała się na ziemiach polskich między Armią Czerwoną, a regularnym oddziałem AK. Z obu świadkami rozmawiałem w Polsce, oboj prosili o dyskrecję.

Płk.dypl. Bolesław Wasilewski (Bustromiak) proponował w 1975 roku:

- Niech pan napisze po prostu: "Dowiaduje się ze źródeł dobrze poinformowanych..." To musi wystarczyć - przynajmniej do mojej śmierci.

Tłumaczyłem, że historia wymaga dokładniejszej dokumentacji, że przecież upłynęło już 30 lat...

- Dla was jest późno, a dla nas ciągle za wcześnie.

Płk. Wasilewski zmarł w 1980 roku, wobec czego zostałem zwolniony z tajemnicy. Jego kolega nazywam poprostu : Świadek II

Postulat anonimowości jest zrozumiały: o ile każdy chwali się dzisiaj swymi przewagami nad Niemcami, o tyle rozmowy na temat przygód pod okupację sowiecką idą opornie. Nawet jeśli jest to klasyczna samoobrona, jak w Surkontach.

Troje dalszych świadków to niekombatanci:

- Czarna Magda,

- Zbigniew, w owym czasie szef nowogrodzkiego BIP-u oraz

- Teresa, sanitariuszka, która w ten poniedziałek po raz pierwszy w życiu znalazła się w Surkontach i przypłaciła to 10 latami zsytki.

Zapoznamy się również z oficjalną relacją, sporządzoną przez kpt.Wartę.

Przebieg bitwy w Surkontach podaje po zestawieniu i przefiltrowaniu wszystkich tych wersji. Jeśli w jakimś istotnym punkcie relacje te, zamiast uzupełniać się, sobie przecza - zaznaczam to w przypisach.

Było koło drugiej po południu (Świadek II utrzymuje, że atak sowiecki nastąpił o świcie, jak w Poddubiczach). Obiad - zsiadłe mleko i kartofle - zjedzone ze smakiem. Warta i oficerowie - zaopatrzeniowcy ciągle nie nadchodzili. Czarna Magda zaniósła do ogrodu kogel - mogel z dwóch jajek. Kotwicz podziękował, przytrzymał kubek kolanami i mieszał lewą ręką. Ale nie zdołał zjeść smakołyku, kiedy nadbiegł chłopak.

- Sowiec!

Czarna Magda podaje mundur, zapina. Kotwicz, za nim Orwid z pepesza.

Gęsta strzelanina, przeważnie serie z broni maszynowej i automatów. Teren niesprzyjający, lekko falisty, mało zarośli. Atak sowiecki idzie od Kamiennego Mostu, odcinając drogę przewidzianą na wycofanie. Rozpiętość frontu około pół kilometra.

Prawego skrzydła broni rkm. Tu są Kotwicz, Ostroga i Orwid. Lewego pilnują Bustromak, Hatrak, i por. Jary(pseud). Oddział AK liczy łącznie z oficerami przybyłymi na niedzielna odprawę 72 osoby, w tym 4 kobiety. Liczba dokładna, ale kto może ręczyć za jej ścisłość. Oddziały ciągle jeszcze były pomieszane, ludzie odchodzili i przychodzili.

Strzelanina o różnym nateżeniu trwa "jakiś czas". Nikt nie umie ocenić jak długo. Potem cichnie.

Na polu walki zostało około 30 zabitych żołnierzy sowieckich i kilkunastu rannych. Straty AK minimalne : kilku rannych, wśród nich kpt. Bustromiak draśnięty kulą koło oka i skroni. Po opatrunku wraca na linię. Inny oficer dostał w udo, rana szarpana pośladka, bardzo krwawi.

Korzystając z paury Kotwicz z pistoletem w lewej ręce zwołuje naradę. Bustromiak wypowiada się za wycofaniem. Kotwicz też – ale nie zaraz. "Jeśli wytrzymamy do wieczora (było po godz. 15⁰⁰), będziemy mogli zabrać rannych. W dzień ich nie wyniesiemy. A jak zostawimy – marne ich widoki.". Popiera go Hatrak. Na tym staje:do wieczora!

Orwid jest też na naradzie. Na uboczu wręcza Czarnej Magdzie złoto komendy.

- Schowaj to, mamo.
- Dzięki Bogu, dziecko, że żyjesz!
- Nie skończyło się jeszcze...

Wybiegli. Znowu strzelanina, jeszcze silniejsza. Samoloty. Pociski zapalające. Zajeła się stodoła, gdzie ranni. Gwiżdżą kule, sypią się szyby. Piekło. Ogień i śmierć.

Bustromiak każe kobietom opuścić zabudowania, zejść do olszynki, wyprowadzić tam rannych. To niżej, fałda ich osłoni. Kapitan ma przy sobie kilku żołnierzy.

- Słuchajcie chłopaki. Nie wiem co z Kotwiczem. Był z Ostrogą przy r-kmie Kalecińskiego. Rkm-u teraz nie słysząc. Trzeba dojść i sprawdzić. Kto pójdzie?

- Ja pójde!

Wrywa się Teresa, "siostra" – to znaczy sanitariuszka. Ładna, młodziutka.

- Ja pójde! Wy macie broń, ja nie mam. A Kalecińskich znam z Lidy. Co im powiedzieć?
- Jak zobaczysz Kotwicza, machnij nam chusteczka.

Chusteczki nie miała, pożyczyla. Pochyliła się i poszła przez łąkę. Aby dojść do górkę, gdzie owies. Ze dwieście metrów. Cały czas strzelają, pryskają grudki ziemi. Z tyłu wołają do niej "Padnij", ale jak tu padać, kiedy trzeba iść. Jest już przy owsie. Idzie i woła:

- Rkm, dowódca Kotwicz! Rkm, dowódca Kotwicz!

Tak kazali.

Żadnej odpowiedzi. Nikogo nie ma?

Z rowu odzywa się wreszcie sierżant z Bogdanki.

- Co się drzesz! Gdzie leżysz? Uciekaj!
- Mam rozkaz dowiedzieć się co z Kotwiczem,

- Nie żyje.Kotwicz nie żyje, rkm nie żyje, rotmistrz nie żyje. Teraz leć, bo nas tu bagnietami rozniosą. Patrz: Bustromiak już odchodzi!

Obejrzała się. Rzeczywiście – skradali się przygarbieni. Bustromiak twierdzi, że dowieziono ich na 30 ciężarówkach; jedenastu żołnierzy. Karabiny niosą po partyzancku. Kierunek : wysoki łubin. Za nim las – ratunek.

Teresa też w tamtą stronę. Pędem! O, tedy wycofywał się Hatrak – i dostał. Leży, krew tryska z ramienia fontanna. Przy nim Gienia Myszkówna. Opatruje go. Ależ tu wydmuch: ze wszystkich stron strzelają. Przedzej! Wpadła do głębokiego rowu. Po tydki w mazi, ale przynajmniej miejsce bezpieczne.

Nieprawda: tu ją dopadli sowieccy żołnierze.

"Wyciągneli z rowu, dali 4 metalowe puszkę z taśmami do km, i ja te "jaszczyki " niosłam za nimi. A oni robiliby obchód pola bitwy. Naszych rannych, wszystkich: lekko rannych i ciężko rannych, żyjących i nieżyjących, przebijali bagnietem. Wszystkich!

Pamiętam twarz kapitana Hatraka... Miał złotą szczękę, patrzył przytomnie, patrzył tak, jakby jemu było **mnie** żal. Widziałam to po jego oczach. Sotdat pchnął go bagnietem w bok. Hatrak żeby wyszczerzył, a on go w brzuch, w pierś, kilka razy.

Obok twarzy w dół leżała Gienka. Nie żyła. Potracił ją nogą, przewrócił na wznak, chciał też przebić, ale oficer zawołał: "Nie trójaj!". Poszli dalej".

W Surkontach atakował – według późniejszych ocen ocalałych oficerów AK i ludności – pełny sowiecki batalion. Bustromiak twierdzi, że dowieziono ich na 30 ciężarówkach; stosunek sił ocenia jako 10:1 na niekorzyść Polaków. Straty Armii Czerwonej : 132 132 zabitych (według depeszy kpt. Warty do Komendy Głównej AK). Rannych wywieziono do Radunia.

Po stronie AK zginęło 36 żołnierzy, w tym jedna kobieta. Liczba poległych jest ściśta: tylu pochowano. Dokładnie połowa załogi. Ilu Ak-owców było rannych – nie wiadomo. Kilku zdołało wycofać się w krzaki i uniknąć dobiecia.

Jeńców nie było. A właściwie był jeden, ujęty nazajutrz. Bo kiedy we wtorek rano zbierano zwłoki i szukano ppłk. Kotwicza, któryś sotdat zauważył na rosistej trawie ślad. Ślad kończył się przy kopie siana.

Czterech podbiegło, odgarneli siano. Wewnątrz leżał skulony strzelec Łoś (Czesław Marszałek), ciężko ranny. Wyciągneli go, szykowała się jeszcze jedna egzekucja.

Gdyby nie Teresa... Wpadła w histerię: krzyczała, wrzeszczała, tupiała, wyrwała się żeby mu pomóc, osłaniała przed żołnierzami. No i nie zadźgali go na miejscu, jak tamtych. Zmarł w więzieniu w Lidzie.

Teresa wybłagała trzy dni życia dla kolegi, ale tym samym odstoniła swoje związki z oddziałem. Legenda o jej przypadkowym znalezieniu się w Surkontach przysła. Za tę zbrodnię sąd sowiecki skazał ją na karę śmierci. Ułaskawiona, spędziła 10 lat na zsyłce. Nie napotkałem świadka śmierci Kotwicza. Zapisalem pogłoskę, którą ludzie powtarzają od kilkudziesięciu lat. Pierwszy na tym skrzydle zginął Ostroga. Potem Kotwicz dostał kulę w czoło., wylot z tyłu czaszki. Orwid rzucił się, żeby wyciągnąć go spod ognia i w tej samej chwili padł na nogi dowódcy. Trzy kule w pierś. Tak ich razem znaleziono.

Oto niepełna lista żołnierzy AK poległych 21 sierpnia 1944 roku w Surkontach:

ppłk. dypl. inż. Maciej Kalenkiewicz (Kotwicz)
 kpt. Bosak (pseud.), d-ca 2 komp. sap. Okr. Nowogródzkiego
 kpt. Franciszek Cieplik (Hatrak)
 rtm. Jan Kanty Skrochowski (Ostroga)
 ppor. Jary (pseud.)
 pchor. Henryk Cywiński (Wilk)
 pchor. Henryk Nikicicz (Orwid)

oraz żołnierze, których stopnia wojskowego nie znam:

Stanisław Dzwinel (Mrówka)
 Ejsmont
 dwaj bracia Kalecińscy, synowie nauczyciela z Lidy
 Kleindienst, syn nauczycielki z Lidy
 Sowa
 Mieczysław Szeptunowski
 Czesław Wolny
 Witold Żuk
 Eugenia Myszkówna, łączniczka-sanitariuszka.

Nazwisk pozostałych 19 poległych nie udało mi się ustalić.

MATKO BOSKA OSTROBRAMSKA – MÓDL SIĘ ZA NIMI

Jan Erdman

(fragment książki "Droga do Ostrej Bramy")

I wtedy chłód śmiertelny rozumiem tej Północy,
 Co ongi tu na wszystkich upartych padła ludzi,
 Jak ciemność się podnieśli i pełni ciemnej mocy
 Krzyknęli czarna warga do świata: niech się zbudzi.

(Kazimierz Wierzyński, z wiersza "Droga do Nowogródka", z tomu "Wolność Tragiczna")